

PRACA

Przedpłata w Poznaniu
już z odnośzeniem
tylko 1 markę na kwartał.

Tygodnik dla wszystkich stanów

Przedpłata
na pocztach tylko 1 marka
kwartalnie.

poświęcony sprawom handlu, przemysłu i rolnictwa.

„Praca“ zapisana jest na pocztach w oddziale II, t. 66.

Nadestane
50 fen. od wiersza.

Redakcja i Administracja przy ul. Rycerskiej nr. 38.
Telefon Nr. 295.

Ogłoszenia zwykłe
20 fen. od wiersza.

„Prace“

która zapisana jest w cenniku gazet pod
rubryką (Abtheilung II. t. poln. Nr. 86)
najwygodniej zamówić na pocztach.

Przedpłata wynosi na maj i czer-
wiec

tylko 67 fen.

Wszyscy nowi abonenci otrzy-
mać mogą na żądanie jeszcze na
składzie od początku w komplecie
znajdujące się numera „Pracy“ i
to bezpłatnie.

Szanownych Czytelników prosimy
usiłnie o łaskawe rozdanie załączonych
kartek różowych pomiędzy krewnych,
przyjaciół i znajomych.

Szanownym Przedpłacicielom do-
nosimy, iż kazaliśmy wydrukować
drugi nakład wyczerpanych nume-
rów 69, 73 i 74 „Pracy“ i że chętnie
na żądanie służyć im możemy temi
numerami.

MODLITWA

DO

ŚWIĘTEGO STANISŁAWA.

Dzisiaj uroczystość Biskupa naszego,
Dzień Stanisława, patrona polskiego,
Świąteczne cały naród przybrał szaty,
Dumny, że w święto takie jest bogaty.

O! Stanisławie lud przez Ciebie wybrany
Na walki ciągle z szatanem skazany,
Z ufnością korne śle modły do Nieba,
Wzywa pomocy, której mu potrzeba.

Otóż sposobność do tego nam dana,
Aby przez Ciebie przebłagać gniew Pana,
A Twe łaskawe za nami wstawienie
Ukróci jarzmo, da nam wybawienie.

Twój święty żywot i Twoja przyczyna
Wskrzesała cudem zwłoki Piotrowina —
Jeśli Ty zechcesz, to na Twoje słowy
Bóg

Kiedy prawica monarchy srogiego
Przecięła pasmo żywota Twojego,
Orły wytrwale strzegły wówczas Ciała,
By Go niegodna ręka nie skalala.

Ty, Męczenniku, racz okiem troskliwym
Strzedz naszej mowy przed światem
[burzliwym,
By nikt nie zatarł dźwięku anielskiego
Naszych praocjów języka czystego.

Twe święte członki mieczem rozdzielone
Cudem na Skalce zostały złączone,
To też oddaje Tobie cześć i chwałę
Dzielne Lechitów pokolenie całe.

O! Synu Polski, wslawiony cudami,
Módl się gorąco do Boga za nami,
By rozebrane naszej Matki Ciało

Patrz, Stanisławie, jak sercem skruszonym
I wzrokiem łzami żalości zroszonym
Naród Cię błaga i kolana zgina,
By dlań szczęśliwa wybila godzina.

Ty możesz, gdy chcesz, o! Polski Patronie,
Stanąć za nasze prawa dziś w obronie,
Wysłuchaj zatem pokorne wołanie
I racz nas zbawić, Najświętszy Kapłanie!
8. V. 97. Dla „Pracy“ Wielkopolska.

Kilka słów o broszurze Dr. W. Skarżyńskiego „Nasza sprawa.“

Napisał Dr. Dyonizy Karchowski.

Naród podbity, prześladowany, we
wszystkich centrach swojego bytu za-
grożony, powinien przez jednostki
swoje gruntowniejszym pojmować położenie,
jaśniej rozpoznawać warunki swego
istnienia i wyraźniej uświadamiać so-
bie przeznaczenie i cele swoje, aniżeli
ten, którego praw strzegą własne or-
gana rządowe, legiony urzędników
wszelkiej dykasteryi a w ostateczności
setki tysięcy żołnierzy z armatami
Kruppa i repetyerami coraz doskonal-
szemi. Każda zatem praca, przyczy-
niająca się choćby żdźbłem małym do
lepszego pojęć, do właściwszego roz-
poznania i większej świadomości, dla
nas Polaków z góry zasługuje na
uznanie, a w żadnym razie lekcewa-
żyć jej się nie godzi.

Nie dziwić się przeto, że niezmiernie
nie przykre wrażenie ogarnęło umysły
inteligentniejsze naszej dzielnicy, gdy
jeden z kierowniczych organów prasy
naszej uznał początkowo za stosowne
krótką notatką o „dobrym stylu“ złożyć
pracę poważną p. dr. Witolda Skarżyń-
skiego, roztrząsającą głębiej położenie
nasze obecne i warunki przyszłej
egzystencji. Wypracowaniom kwarta-
tanera lub terytanera można nadawać
za styl predykaty, gdy wszakże chę-
dzi o produkt myśli poważnego, do-
świadczanego i znanego z inteligent-
cyi i nauki obywatela, ocena rozpo-
częta predykatem dobrego stylu, jest
lekceważącą i oburzającą ironią.

Ironia ta razić musi tem mocniej,
że wszystko, co p. dr. Skarżyński za-
warł w głębokich swoich wywodach,
dyktowała mu jak najwidoczniej ser-
deczna miłość ojczyzny i szczerą tros-
ka o jej losy. A ponieważ miłość
każda, a tem więcej miłość ojczyzny
wymaga koniecznie moralnego i idea-
nego uzasadnienia, przeto autor roz-
poczyna rozumowania swoje od zru-
dania pierwiastków sprawy bytu
naszego, która jego zdaniem „stoi dzi-
siaj tak, jak temu lat sto.“ Te me-
zanikle pierwiastki, tę istotę naszej
sprawy dostrzega autor w „idei od-
rębnej polskiej“, jaka się dla nas
i dla ludzkości z dziejowych faktów
wylania. W dawnym parlamentar-
nym, jakkolwiek nie cały naród a tylko
szlachtę ogarniającym ustroju spo-
łecznym widzi autor te same pierwiastki
szlachetne, które kilka wieków później
złożyły się na konstytucjonalizm czyli
utworzenie sejmów i parlamentów
w wielkich państwach europejskich.
W unii z Litwą i Rusią na drodze
pokojowej rozpoznaje p. dr. Ska-
rzyński ideę federacyjną, która w przy-
szłości stanowić będzie może podkład
do uregulowania wzajemnych między-

narodowych stosunków. A chociaż fatalnem losów rządzeniem idea parlamentarna, idea współdziałania jednostki w sprawach państwa w Polsce nie rozwinęła się prawidłowo, ale zwyrodniała, a dzieło federacji padło skutkiem niedoleżnej organizacji, to jednak pierwiastki te nie zmarniały i tkwią w nas jeszcze. „Istnieniem zaś swoim dowodzimy, że państwo nie jest wszystkim,“ że naród, aczkolwiek podbity, „nowoczesnemu molochowi państwowemu pożerać się dać nie potrzebuje; o tyle jesteśmy reprezentantami silnego i zdrowego indywidualizmu, a ztąd zwiastunami i pionierami przyszłości!“ Istota naszej sprawy wszakże nie tkwi jedynie w treści historyzoficznych wywodów autora. Ona tkwi w etyce narodowej z dobremi jej pierwiastkami, wyrobionej na gruncie chrześcijańskiej wiary, etyce, która pozwala i karze wierzyć, że jest w zasadach swych dobrą i piękną; ona tkwi w skarbach języka polskiego, które nam myśliciele i wieszczowie nasi w spuściznie zostawili; ona tkwi w tradycji bohaterskich zapasów i olbrzymich ofiar z ostatniej setki lat, których naród dla przyszłych pokoleń a więc i dla nas nie szczędził. Tego wszystkiego pod grozą zupełnego upodlenia roztrwonić nam nie wolno, tego nawet bez rozmyślań dziejowych bronić winniśmy aż do ostatka, bo to nasz indywidualizm, nasz honor, mo-

ralna i bardzo rzeczywista część „naszej sprawy“.

W obronę tych dóbr wierzyć trzeba, albowiem do obrony ich środki zawsze jeszcze mamy w swoim ręku i mieć będziemy dopóty, dopóki ogniska domowe „im Interesse des Staates“ nie dostaną każde po jednej pikelhaubie, a każdy piastun takiej pikelhauby nie będzie ziuział polskich niemowląt pieśnią: „Ich bin ein Preusse“ albo też „Fuchs du hast die Gans gestohlen“ matkom zaś nie pozwoli opowiadać dziatwie, co to za lis co gęs polską ukradł.

Ze służąc idei swojej, idei własnego narodowego idealizmu służymy jednocześnie idei wszechludzkiej swobody, która bez poszanowania praw narodowości choćby niewiem jakim cywilizatorskiem faryzeuszostwem upięszana będzie tylko karykaturą, a której prawdziwego głosu huk najpotężniejszych działań nawet nie zagłuszy — to rzecz zbyt naturalna, ażeby się nad nią rozwodzić.

Ale rzeczywiście autor ma najzupełniejszą rację, że dziś w międzynarodowej polityce europejskiej „sprawa polska“ jako przedmiot dyplomatyczny nie istnieje. W polityce ostatniej ery o ludzkich, humanitarnych zasadach mowy niema, a moralności mniej więcej tyle co w ulicznej zalotnicy, która uprzejmość swoją i ofiarę problematycznej wartości normować

potrafi podług możności wydrwienia zysku z cudzej kieszeni. Wielka więc prawda zawartą jest w następujących słowach: „nasza sprawa z międzynarodową polityką dzisiejszą nie ma wspólnego. Wzajemnie się wykluczają, a wykluczają dla tego, że nasza sprawa należy do rzędu kwestyi z gruntu etycznych, podczas gdy etyka z dzisiejszej polityki międzynarodowej całkiem jest wykluczona.“

Po określeniu istoty „naszej sprawy“ i po rozstrzygnięciu przeczącem kwestyi, czy istnieje jeszcze sprawa polska na stole europejskiej międzynarodowej dyplomacji, autor rozświetla położenie i sprawę naszą w obrębie trzech zaborów. Zasadnicze różnice w traktowaniu Polaków ze strony Austrii z jednej strony, a ze strony Prus i Rosyi z drugiej strony przywodzą go do wniosku, że zachowanie się nasze odpowiednio do tegoż traktowania musi być rozmaite, a to tem bardziej, że ustrój społeczny w trzech państwach zaborskich bardzo znamienne zdradza różnice. Słuszne też jest jego zapatrywanie, że charakter czysto-pruski rządów w Niemczech, charakter widocznie zamierzający do despotycznego pokroju a spreczny zbyt często z konstytucjonalizmem osobiście gdy chodzi o nas, rozprasza uludę, że drogą bezwzględnej korzenia się, by z autyjni-

X Za czyje winy?...

NOWELKA.

W 1870 roku byłem na piątym kursie akademii medycznej. Ponieważ ferie wielkanocne wypadły między egzaminami, miałem przeto święta przepędzić w Petersburgu; ale w wielki czwartek otrzymałem telegram: ojciec wzywa mnie, abym koniecznie przyjechał. Pojechałem.

Na przywitanie usłyszałem od rodzica:

— Cóżto, mosanie, — nie chcesz się podzielić święconem jajkiem ze starym ojcem? — a może za rok się nie zobaczymy!

— Tłumaczyłem się egzaminami; ale ojciec, który bardzo niechętnie patrzył na zawód, jaki sobie obrałem, pokręcając węża, pytał:

— A kto, mosanie, dla ciebie droższy: egzamina, czy stary ojciec, który już może nie pożyje długo?

Przepędziłem więc święta, wraz z dwiema siostrami, na wsi u rodziców. Musiałem się jednak spieszyć, i we czwartek — „na przewodach“, wyruszyłem z powrotem.

Droga, jak zwykle na wiosnę, była fatalna, tak, że zaledwie zdążyłem na czas do Święcian; pociąg idący z Wierzbolowa stał już na stacyi: kupiłem bilet, i — zaledwie zdążyłem wskoczyć do wagonu — ruszyliśmy.

Jeździłem drugą klasą: ojciec się bowiem na trzecią nie zgadzał.

— Cóżto, mosanie — mówił, mój jedynak będzie się z żydami tłoczyć?... Chwalić Pana Boga, stać nas i na pierwszej klasie!...

Wiosenny to był dzień: jasny i pogodny. Rzuciłem walizkę na siatkę, złożyłem płaszcz, i usiadłem przy oknie, rozglądając się naokoło. W całym przedziale, oprócz mnie, było osób trzy: jakiś stary jegomość, drzemiący przy przeciwległem oknie, dama o łagodnym wyrazie twarzy, i obok niej, a naprzeciwko mnie — młode dziewczę. Na nią, rozumie się, głównie zwróciłem uwagę.

Siedziała bez kapelusza, opierając głowę o boczne wysłanie kanapy; była młodzianką najwyżej siedemnastoletnią brunetką, z dużemi czarnemi oczyma. Białość jej twarzy zadziwiła mnie: nie bladeść to jednak była, ale dziwnie delikatna cera. Zacząłem się jej uważniej przypatrywać, i moja sąsiadka wydała mi się bardzo piękną; ale twarz jej, może skutkiem zmęczenia podróży, przedstawiała jakieś cierpienie, boleść i smutek.

Jeżeliśmy już minut kilkanaście, a ja wciąż nie spuszczałem oczu z pięknej sąsiadki; ale i ona również ciągle na mnie patrzyła. Pokręcałem z wielką trudnością aplegry przyszłych wawów, i namyślałem się, w jakim języku zacząć rozmowę, gdy starsza dama zapytała:

— Nanieczko! może chcesz się położyć?

— Nie, mameczko, dziękuję — odrzekło dziewczę.

To mi otworzyło usta.

— Panie zapewne zdaleka jada? — zacząłem.

— Z Berlina — odrzekła matka; — wracamy do domu, do Pertersburga.

— A!... panie mieszkają także w Petersburgu? — zapytałem.

— Tak, panie — odpowiedziała dama.

Promienie słońca, wdarłszy się ukosnie przez okno wagonu, padły wprost na twarz pięknej sąsiadki. Powstałem z miejsca i, zasuwając frankę, mówiłem:

— Pozwoli pani zasłonić okno, słońce panią razi?

— Nie panie — odrzekła, — ja nie widzę słońca, i... już go nigdy nie zobaczę!...

— Co pani mówi! — spytałem zdziwiony.

— Moja córka od pięciu lat jest ociemniała — dodała matka.

— Jak to — pytałem wzruszony: — tak czyste i piękne oczy nie widzą?

— Nie widzą! — odrzekła gorzko uśmiechając się Mania.

Matka odpowiedziała mi, że Mania w dwunastym roku nagle zaniewidziała. Radzono się różnych lekarzy, ale nic nie pomogło. Obecnie wracają z Berlina, dokąd specjalnie jeździły się radzić; ale do której najmniejszej nie robili nadziei.

— Paraliż nerwu wzrokowego — pomyślałem, i to mnie w zupełności humoru pozbawiło. — Więc to młode, piękne i

zmem, zapieraniem się swego indywidualizmu silnie narodowego dojsćby można do gruntowniejszej, trwalszej naprawy losu w zaborze pruskim. Duch niemiecki zdaniem p. dra. Sk. tak jak słowiański kryje w sobie prawdziwe pierwiastki idei indywidualistycznej, idei nadawania jednostkom jak największej swobody, duch prusycyzmu wszakże do dystrybucyjnej centralizacji ustawicznie dążący, a wsparty na sukcesach i tryumfach ostatnich wojen i dla tego dominujący w państwie niemieckim tak długo pozbawiać będzie wszelkich widoków polepszenia doli, „dopóki będzie właśnie na czele ustroju rzeszy niemieckiej. W tym despotycznym, ześrodkowującym, nietoleranckim duchu biorą swój początek wszelkie krzywdy, jakich narodowość polska po względnie ludzkim traktacie wiedeńskim i po toleranckich rządach Fryderyka Wilhelma IV doznała i doznaje; w tym samym duchu tkwi przyczyna praw antypolskich, w tym samym duchu szukać należy źródła hakatystycznych, nieludzkich aspiracji. Autor mimo to ideą swobody ludzkiej natchniony przewiduje, że kiedyś może, gdy duch despotyczny ustąpi zasadzie szanowania indywidualizmu społeczeństw i obywatelskich jednostek naród niemiecki z narodem polskim w patryarchalnej żyć będą zgodzie. Choroskop ten atoli wydaje mi się bardzo mglistym i uludnym. Jak p.

dr. Skarżyński z przeszłości dziejowej wydobyl racją idei polskiej, tak ja z tej samej i jeszcze dawniejszej przeszłości wysnuwam jak najgorsze przewidywania stosunków pomiędzy Niemcami a Polakami i Słowianami w ogóle. Jeszcze państwo niemieckie nie istniało a już wieki całe, już przed tysiącem lat poczęło się ustawiczne prześladowanie, wypieranie, pożeranie i germanizowanie Słowian przez Niemców, a zawsze pod hasłem faryzeuszowskim, albo idei chrześcijańskiej, albo też światła kultury. Najwstrętniejsza hypokryzja znamionuje postawę tysiącletnią Niemców względem Słowiańszczyzny, płaszczenie się przed potęgą, a znęcanie się nad słabszymi i podbitymi bardzo smutno, ale i bardzo stanowczo zbija przypuszczenie, iż w szczepie germańskim i słowiańskim wspólne szlachetne są pierwiastki indywidualizmu. Jeśliby te pierwiastki nie w Prusakach, a w Niemczech istotnie tak były wydatne, dlaczegoż dotąd nie zaważyły, dlaczego nie zaważą korzystnie na szali losu Polaków pod berłem pruskim? Sam autor zresztą powiada: „Że niższa, barbarzyńska, zniewieściała, do niewoli stworzona rasa słowiańska służyć może za podściół, za nawóz pod wspinałą roślinę kultury niemieckiej — o tem żaden Prusak, a mało który Niemiec wąpli!... U Prusaka jak u Niemca wziętego w dyscyplinę pruską, patryotyzm polegać tylko może

na skonfiskowaniu wszelkich praw do rozwoju, do egzystencyi nawet, którą roszcza sobie inne narody, na rzecz zjednoczenia wielkiej ojczyzny niemieckiej z wykluczeniem wszelkich innych ojczyzn.“ Pocóż więc ludzie się ideą możliwego zbratania, której zrealizowanie ani nawet nie mający się na horyzoncie przyszłego ukształtowania się międzynarodowych stosunków.

Nawet w Austrii, gdzie położenie Polaków najkorzystniej i względnie pomyślnie się unormowało, tendencja antysłowiańska zaznaczyła się przez długie lat dziesiątki nadto wyraźnie mimo dobrodziejstwa odsieczy wiedeńskiej, a jeśli dziś inne nastaly stosunki, to i one są tylko produktem konieczności, tkwiącej w znacznej części w dynastycznych interesach Habsburgów. Ale złotemi literami warto wypisać słowa autora, odnoszące się do braci Galicyan: „Więcej rzetelnej praey w domu, przy roli, w warsztacie, w fabryce, w kantorze i w urzędach autonomicznych, a mniej ciśnienia się do namiestnictwa i rozmaitych dykasteryi w Wiedniu, które wprawdzie jednostki prowadzi w wielu razach do zaszczytów, tytułów, orderów i pozycyi, a nawet do dochodów i majątku, ale przy której nasza sprawa w Galicyi na dobre na anemią zapaść może.“

W wywodach dotyczących losu braci naszej w zaborze ruskim prze-

sympatyczne dziewczę, mające takie śliczne oczy — myślałem dalej — ślepe: pozbawione widoku tego pięknego świata, tych cudnych dzieł Stwórcy; nie mogące cieszyć się widokiem ukochanych osób i własnej piękności, nie znające dnia — skazane na ciągle niedoleństwo i noc bezustanna?

W podróży ludzie zbliżają się łatwo: i myśmy się zbliżyli. Dowiedziałem się tedy, że państwo Strumillo mieszkają stale w Petersburgu, że ojciec urzęduje w ministerjum, a Mania jest jedynaczką.

Uroczą sąsiadka mówiła niewiele; ale jej piękność posagowa i straszne kalectwo, wzbudziły we mnie i zachwyt pewien i wielkie współczucie: starałem się ciągle, by jej w czemkolwiek usłużyć i by ją rozerwać; ale, mimo najusilniejszych starań rozweselić jej nie byłem w stanie.

Nazajutrz rano stanęliśmy w Petersburgu. Wsadziłem moje towarzyski podróży do karety, a pani Strumillo, żegnając mnie i dziękując za opiekę, dodała:

— Mieszkamy na Grochowej, pod numerem 18-tym, może pan nas będzie łaskaw odwiedzić.

Egzamina czas mi zabierały; a zresztą — mieszkalem na Wyborskiej stronie, bardzo daleko od Grochowej, jakoś wybrać się do nich nie mogłem zrazu, pomimo, iż serdecznie pragnąłem nieszczęśliwą Manię zobaczyć. Nareszcie, pewnej niedzieli, wybrałem się i — poszedłem

Pan Strumillo, człowiek wiece sym-

patyczny i wykształcony, bardzo miłe zrobił na mnie wrażenie; panna Marya nawet ożywiła się nieco. Doznałem od razu tak ciepłego i serdecznego przyjęcia, jak gdybym był u kogoś bliskiego bardzo; przyszedłem z ceremonialną wizytą, a zatrzymano mnie na obiad. Po obiedzie przeszliśmy do salonu. Mania chodziła krokiem pewnym, lekko tylko wysuwając ręce naprzód: obcej pomocy nie potrzebowała zupełnie. Rodzice zasiedli przy stole; pan Strumillo zapalił fajkę, a długim cybuchu, a mnie poczęstował papierosem. Nie chciałem w salonie palić, ale pani zachęcała mnie, mówiąc:

— U nas wszędzie się pali: mąż fajczarz namiętny.

— Mania usiadła na kozetce, a ja na foteliku przy niej. Rozmowa z początku była ogólną, rozumie się, o wojnie francusko-pruskiej, która tylko co się była zaczęła. Pan Strumillo gromił Prusaków zawzięcie, i przepowiadał, że za miesiąc najdalej Francuzi będą w Berlinie. Później przeszliśmy na inny temat, w końcu zaczęła się rozmowa o muzyce. Mania wydała się z tem, że jest muzyki zapaloną wielbicielką; że przed utratą wzroku dużo grywała, ale obecnie trudno jej bardzo, bo słuch muzyczny nie dopisuje, a nut — nie widzi. Przyznałem się, że i ja grywam na fortepianie, i — że jestem przedewszystkiem zwolennikiem opery.

— Znasz pan „Króla Olch“? — pytała.

— Nawet go gram — odrzekłem.

— Śliczny i rzewny — dodała...

Spojrzałem w jej piękne oczy — były jednak bez wyrazu.

We dwa tygodnie potem, gdy odwiedziłem ich po raz drugi, zastałem kilka osób. Nie starając się o nawiązanie nowych znajomości, parę godzin spędziłem głównie na rozmowie z Manią, o której potem myślałem bardzo często...

Skończyłem nareszcie egzamina i, zostawszy lekarzem, opuścić miałem Petersburg nazawsze. Przed wyjazdem poszedłem pożegnać Strumillów. Pana nie zastałem, wyjechał bowiem do Pskowa. Przyjęto mnie znów bardzo serdecznie, a pani na pożegnanie mówiła:

— Życzę panu powodzenia w obranym zawodzie, i bardzo żałuję, że znajomość nasza tak krótko trwała; mamy jednak nadzieję, że, jeśli pan będziesz kiedy w Petersburgu, nie zapomnisz o przyjacielach!

Panna Marya zaś podała mi rękę i, uściśnieniem poparłszy swą prozbę, rzekła rwącym się ze wzruszenia głosem:

— Niech mi pan na pożegnanie nie odmówi!... Może się już nigdy nie zobaczymy?... Proszę, zagraj mi pan „Króla Olch“!...

Usiadłem do fortepianu i grać zacząłem... Spojrzałem po chwili na Manię, i spostrzegłem dwie duże łzy w jej pięknych, szklanych oczach!...

W ciemną noc listopadową 1877 roku,

jawia się, jakkolwiek nie dość wyraźnie zarysowana idea pojednania się i zespolenia z pobratymcami rosyjskimi, co naturalnie przez poszanowanie praw narodowości polskiej tylko jest możliwe. Porozumienie jest możliwe zdaniem p. dr. Sk. a „Polacy w cesarstwie rosyjskiem nie powinni w żadnym razie uniemożliwiać tego zrozumienia, tego odnalezienia straconego do nich zaufania.“ Ostatnie słowa brzmią trozeczeczkę nakazująco, bo w stosunku zabójcy do podbitego podbity nasamprzód nabrać musi zaufania, a potem dopiero wzajem o zaufanie się ubiegać.

(Dokończenie nastąpi).



Rozwój handlu wszechświatowego.

Środowiskiem handlowym dla świata cywilizowanego było przez długie wieki Morze Śródziemne. Świat starożytny używał wodnych dróg tego morza do wymiany płodów natury, dzieł przemysłu i sztuki. Obok tego drogami lądowymi, i wybrzeżami północnej Afryki posuwały się karawany, dostarczające handlowi światowemu artykułów ze środkowej Azji. O przebywaniu wielkich mórz, nie mogło być przy ówczesnym stanie żeglarstwa ani mowy.

Dopiero odkrycie Ameryki z końcem XV wieku i ciągle udoskonalenie żeglarstwa uczyniło Ocean Atlantycki olbrzymim gościńcem handlowym. Nie odrazu jednak zaważył ten gościńiec na stosunkach handlu wszechświatowego. Jeszcze przez całe wieki trwożliwie puszczano się

po nim na niepewne losy, a kupieckie okręty, szukając bogactw indyjskich, żeglowały raczej wzdłuż wybrzeży afrykańskich, okrążając cały ląd Afryki, dopóki śmiałe przedsiębiorstwo Lessepsa nie otworzyło im krótszej drogi przez Morze Czerwone i cieśninę Sueską.

Dziś wszakże komunikacja między portami zachodniej Europy a wschodniemi wybrzeżami Ameryki jest już tak ustalona, po olbrzymiej przestrzeni Atlantyku krzyżuje dziś tyle potężnych parowców, że nie tylko transport osób, lecz kolosalnych ilości towarów z Europy do Ameryki i na odwrót z wszelką regularnością się odbywa.

Ocean Spokojny był zupełnie martwym pod względem ekonomicznym i handlowym. Wybrzeża jego były poniekąd tylko geograficznymi pojęciami, Meksyk, środkowa Ameryka, Kolumbia, Equador, Peru i Chile ekonomicznie niedojrzałymi krajami, gdzie okręt kupiecki nie wiele miał do czynienia.

Sama Australia była jeszcze przed pół wiekiem raczej kolonią karną, niż krajem mającym interes dla handlu. Jeszcze gorzej było z zachodniemi wybrzeżami Oceanu Spokojnego. Chiny tylko pod presją innych mocarstw dopuszczały za ledwo do kilku portów obce okręty, a Japonia zamykała je trwożliwej niż kiedykolwiek. Żadnemu cudzoziemcowi nie był wstęp w głąb kraju dozwolonym, Japończykowi wyjeżdżającemu z ojczyzny groziła kara śmierci.

Jakże się te stosunki dzisiaj zmieniły! Angielska Kolumbia, która przed otwarciem kolejowej linii Oceanu Spokojnego była nieznaną prawie nikomu kolonią, jest dziś punktem wyjścia dla czterech linii parowców, przepływających Ocean Spokojny.

Zwróciwszy się ku Australii i jej wy-

spom, zamykającym Ocean Spokojny od południa, zobaczymy znów rozwój tak niesłychany, jakiego przykładu w dziejach zresztą nie ma. Jest on niewątpliwie szybszym i potężniejszym od rozslawionego tak bardzo rozwoju Stanów Zjednoczonych.

Australia, istniejąca politycznie za ledwo od 100 lat, liczy już dziś przy stosunkowo niewielkiej liczbie ludności przeszło 100 milionów owiec, 9 milionów bydła i 1 1/2 miliona koni, wydała w roku 1893 złota za 140 milionów, węgla za 4 miliony a wełny za 400 milion. mrk.

Przed pięćdziesięciu laty jeszcze prawie Europie nieznaną i nie znaczącą w handlu światowym, występuje dziś Japonia jako niesłychanie potężny czynnik handlowy i poczyną nie tylko swemi płodami, lecz co ważniejszą, wytworami swego przemysłu najbardziej cywilizowanym państwem zagrażać.

Fabrykaty tego rodzaju jak tkaniny bawełniane i jedwabne, porcelana, maty, zapalki, z surowych płodów zaś ryż, herbata, petroleum, miedź w blokach, wodorosty morskie i t. d. stanowią poważne artykuły wywozowego handlu japońskiego. Pośrednictwo w handlu produktami innych krajów z nad kotliny Oceanu Spokojnego przesuwają się także do rąk sprytnych kupców japońskich, a rząd idzie im w pomoc popieraniem wykształcenia zawodowego i otwiera właśnie na szeroką skalę akademię handlową.

Zaledwo po trzydziestu latach cywilizacyjnego rozwoju, ukazuje się nam dzisiaj Ocean Spokojny, jako całkiem nowe a potężne środowisko handlu światowego, które w miarę postępu cywilizacyjnego i mnożenia się fabryk ciężko może zaważyć na szali przemysłu i handlu krajów europejskich.



do ambulansu, w pobliżu Arab-Konaku, wnieśli na noszach ranionego oficera, który padł na pozycji generała Elissa, przy wejściu na Balkany. Przyniesiony officer był już nieco opatrzonej na polu bitwy, ale miał strzaskaną nogę i ranę na głowie. Strzaskana noga wymagała bezwzględnej operacji; niepodobna było odsyłać ranego do lazaretu, urządzanego w miasteczku Orchanje: wzięliśmy się więc do amputacji natychmiast, i odjąłem kończynę dolną powyżej kolana.

Przed południem zbliżyłem się do ranego; wiedziałem, że skutkiem utraty krwi mocno jest osłabiony, i spodziewałem się, że pod wieczór będzie gorączka: dotknąłem więc głowy i pulsu.

Ranny, młody blondyn wielce sympatycznej powierzchowności, nie jęczał i nie skarżył się, choć cierpienie malowało się na jego twarzy; zwrócił tylko ku mnie oczy i przemówił słabym głosem:

— Doktorze!... w moim mundurze jest zaszyty pugilares z pieniędzmi... papiery... każ to pan wyjąć i zachowaj u siebie!... Ja wkrótce umrę, proszę to odesłać do mojej żony...

— Co panu za czarne myśli przychodzą do głowy? — przerwałem, — będziesz pan zdrow i sam odwieziesz; poproszę odesłać pana do lazaretu do Orchanje, tam pan prędko do zdrowia powrócisz.

— Nie, doktorze! — odrzekł — nie odmawiaj; proszę napisz: Marya Zwolenńska, Petersburg, Nowy zaułek N. 4-ty.

Zapisałem żeby nieszczęśliwego uspokoić.

Na trzeci dzień kapitan umarł, a ja wykonałem zlecenie. Pugilares i papiery wysłane zostały do żony, wraz z odezwą o rycerskiej śmierci kapitana.

* * *

Na początku lipca, 1879 r., byłem za interesami w Petersburgu, a korzystając z niedzieli, postanowiłem odwiedzić dawnych swych przyjaciół Dowborów. On był gimnazjalnym moim kolegą, a ja znałem jeszcze małą panią, i często bywałem w domu jej rodziców, w Wilnie. Pojechałem zatem do „Leśnego Korpusu“, gdzie Dowborowie przenieśli się na letnie mieszkanie.

Z dworca kolei w szeroką wszedłem aleję; a zbliżając się już do willi Dowborów, spostrzegłem młodą kobietę, czarno ubraną, jak bardzo wolnym posuwając się krokiem, popychała przed sobą ozdobny koszykowy wózek, w którym uspione leżało dziecko. Obok wózka postępowała wiejska dziewczyna, zapewne piastunka.

Zbliżyłem się do grupy i, mijając, spojrzałem na młodą kobietę. Była to Marya!... Przez lat dziewięć niewiele się zmieniła; była zawsze piękną, nawet wydała mi się piękniejszą jeszcze, gdyż twarz jej ożywiły kolorki, które się na licach ukazały.

— Witam i pozdrawiam panią — rzekłem; — jestem...

— Gamaston! — przerwała z pewnym

wzruszeniem poznałam! — i wyciągając rękę mówiła dalej:

— A pan zkąd?... dawno w Petersburgu?...

— Z Odessy — odrzekłem. — W Petersburgu jestem od dni pięciu, jutro zaś wieczorem wyjeżdżam. Do „Leśnego“ przyjechałem odwiedzić Dowborów; ale cieszę się z tak milego, a niespodzianego spotkania.

— I my także znamy Dowborów — odezwała się, — mieszkamy obok siebie.

Zaczęliśmy rozmowę. Dowiedziałem się, że Marya mieszka z matką; że ojciec od czterech lat nie żyje, a ona przed trzema wyszła za mąż...

— Z początku — mówiła — myślałam, że ożenił się ze mną z litości... ale później przekonałam się, że mnie kochał prawdziwie i szczerze!... Byłam bardzo szczęśliwą!... ale krótko... rok tylko!... Mąż zginął na Balkanach!... był wojskowym... Nazywam się obecnie Zwolenńska.

Dreszcz mnie zimny przeszył: kapitan stanął mi przed oczyma. Spojrzałem na wózek, i zobaczyłem w nim główkę z jasnymi kędziorkami, z rysów twarzy przypominającą kapitana.

Nie chciałem jątrzyć bolesnej rany, i o mojej znajomości ze zmarłym nie wspominałem. Zwróciłem się ku domowi. Pani Strumillo serdecznie mnie przywitała; zamiast iść do Dowborów, u nich zostałem na obiedzie.

(Dokończenie nastąpi.)

Stowarzyszenie konsumcyjne po wsiach.

Sprawa, jaką dziś poruszyć zamierzaliśmy, jest niezaprzeczenie bardzo ważną tak ze względu oszczędności jak i wielu udogodzeń w zaspokojeniu wielu najpierwszych potrzeb na wsi. Wiadomo bowiem, jak dalece zawisłymi są u nas włościanie od łaski mało-miasteczkowych handlarzy żydowskich, przymuszeni za drogie pieniądze zadawałnic się nieraz najgorszymi artykułami spożywczymi, zaliczającami się do najpierwszych potrzeb konsumpcyjnej, jak: kawa, cukier, herbata, mydło, krochmal, świece, oliwa, oleje, nafta, cykorya, cytryny, śledzie, korzenie i wiele innych przedmiotów kolonialnych, a nawet niektórych galanteryjnych i bławatnych, składających również artykuły powszechnego użytku, jak: żelazo, płótno, nici, smarowidło itp. Otóż, aby położyć koniec wyzyskiwaniu i co równie ważne otrzymywać wszystkie te artykuły w należytej dobroci po rzetelnej mierze i wadze, będzie na to jedyny, niezawodny, a przytem łatwy do urzeczywistnienia środek: zawiązanie stowarzyszeń konsumcyjnych wiejskich.

Zadaniem tego rodzaju stowarzyszeń byłoby sprowadzenie najważniejszych artykułów na potrzeby miejscowej konsumpcji z pierwszej ręki, czyli wprost z fabryki lub z głównych na pewne produkta targów, poczem stowarzyszeni otrzymaliby żądane artykuły po cenie kosztów, z potrąceniem małego procentu na kapitał zapasowy i obrotowy stowarzyszenia.

Oprócz tego stowarzyszeni korzystałyby jeszcze z tych zysków, jakie dałyby się osiągnąć ze sprzedaży artykułów stronom nienależącym do stowarzyszenia, które mogłyby również nabywać żądane pro-

dukta po cenie wyższym procentem obciążonej, ale zawsze niższej od zwyczajnie utrzymującej się ceny handlowej. Zyski z tego źródła osiągnięte, dzieliliby corocznie między siebie stowarzyszeni w stosunku wysokości kwoty, z jaką do udziału przystąpili.

Stowarzyszenia takie przyniosłyby więc pożytek wielki ogółowi, a stowarzyszonym wielorakie korzyści, jako to: tani i dobry towar, a w miarę rozwoju przedsiębiorstwa nawet bardzo znaczne zyski.

Stowarzyszenie składaćby się mogło z członków w założycieli (akcyonariuszów), dostarczających pierwsze na ten cel fundusze i z członków uczestniczących, czyli wkładających jednorazowo tytułem wpisowego 3—5 mk. za prawo nabywania produktów po cenie kosztów. Ta druga kategoria stowarzyszonych uczestników nie nabywałaby jednak prawa do zysków ze sprzedaży postronnej, ale mogłaby w każdym czasie występując z towarzystwa, odebrać również i wkładkę.

Tymczasem urządzone składy czy sklepy, mogłyby być pomieszczane po wsiach w miejscach dogodnych komunikacji, lub też po miasteczkach, co już zawisło od miejscowych okoliczności, przedstawiających w tym lub owym razie większą dogodność.

Podobnych stowarzyszeń istnieje w Niemczech bardzo wiele i liczba ich corocznie wzrasta, także na Górnym Śląsku jest ich pełno, tylko u nas, w Wielkopolsce, a szczególnie po wsiach ich brak niemal zupełnie. Jak zaś pomyślnie się rozwijają, co najlepiej dowodzi ich wielkiej potrzeby i pożytku, posłuży nam za przykład założone tego rodzaju stowarzyszenie w Schönborn, w miejscowości oddalonej tylko milę od Wrocławia, co zdawałoby się niekorzystnym dla stowarzy-

szczenia ze względu bliskości tak wielkiego i handlowego miasta. Mimo to założone tam w r. 1872 stowarzyszenie konsumcyjne — początkowo przez 40 członków, a dziś liczące przeszło 500 ojców rodziny — miało z końcem pierwszego roku obrotu w produktach za 20,000 mk., w r. 1873 za 25,000 mk., w r. 74 za 37,000 m., w r. 75 za 45,000 mk., a obacnie za 8,000 marek miesięcznie.

Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że stowarzyszenia konsumcyjne szczególnie u nas po wsiach byłyby wielkim dobrodziejstwem tak dla dworów, jak i dla włościan. — Sądźmy zatem, że nie mamy całkiem potrzeby dłużej o tem przekonywać, ani nawet usilniej nakłaniać do przedsiębiorstwa, które tak widocznie przedstawia tyle łatwo dających się pojąć korzyści.

Trzeba więc tylko dobrej woli i przedsiębiorczości ze strony tak dziedziców jak gospodarzy, tem bardziej, że przeszkodą materialną uważać można za niebyłą, bo w każdej okolicy znajduje się pokaźna liczba włościan i dworów, mogących przeznaczyć na ten cel choćby kilkadziesiąt marek, w krótkie z procentem wysokim odzyskać się mogących.

Niekoniecznie też skład taki potrzebuje we wszystkie od razu zaopatrywać się produkta, ale może początkowo ograniczać się na kilku najważniejszych artykułach, pomnażając ich liczbę w miarę rozwoju i konieczności. Wiele nadto fabryk, byleby pod odpowiedzialną gwarancją stowarzyszonych, powierzyły swoje wyroby na częściową w miarę sprzedaży odpłatę.

Oby uwagi te przyczyniły się do tego, aby jak najrychlej u nas w każdej większej wsi powstało stowarzyszenie konsumcyjne.

Wychowanka Dziadunia.

CZEŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Duży salon zapelniał się powoli codziennymi gośćmi, bo marszałkowa co wieczór przyjmowała: „Gdy światło jest w oknach, wówczas zawsze proszę na herbatę,” mówiła do swoich przyjaciół, którzy też licznie się zbierali.

Przy dwóch stolikach grano w wista, a na kanapie i fotelach żywa toczyła się rozmowa.

Micia się nie ruszyła, skulona przy boku marszałkowej.

— Wasze czary wystraszyły to biedne dziecię — rzekła pani domu do wesołego grona panien, które się po salonie rozbiegły, witane z zapalem przez kilku młodych ludzi, którzy nadeszli niespodzianie.

Utworzyły się małe kółka. Młody wojskowy usiłował zbliżyć się do Heleny. Stał wreszcie przy jej boku w drzwiach wiodących do buduaru i zamknął jej odwrót, lecz gdy i tam udawała, że go nie widzi:

— Pani mnie przed chwilą nie poznała? — rzekł, marszcząc brwi.

— Nie poznałam.

— Doprawdy?

Patrzył jej w oczy zdumiony; lecz poznał, że nie mówiła prawdy, a ona się zarumieniała.

— Niech pani nie udaje gorszej, niż jest — rzekł czule.

Chwył jej obie ręce i przyciągał ją w róg pokoju, daleko od gwaru. Ona się nie opierała, niewzruszona i zimna. Naraz zaczęła przyspieszonym głosem:

— Prosiłam pana, żebyś już nie powracał!...

Lagodnie się ku niej pochylił i rzekł pieszczotliwie:

— Nie tym tonem pani do mnie mówiła tego lata w Szczawnicy! Z kimże pani wówczas tańczyła zawsze kotyliona i mazura?

— Z panem — odparła glucho — cóż z tego?

— Z kim pani najchętniej wieczorem przechadzała się nad brzegiem Dunajca?

— Z panem. I czegoż to dowodzi?

— Dowodzi, że wówczas pani była dla mnie łaskawą!

Powolnym ruchem odwróciła twarz:

— Cóż z tego? — sądząc po głosie, musiała być rozdrażnioną boleśnie. — Tak... cóż z tego?... Wszakże pan o małżeństwie teraz myśleć nie może! Pan przeszedł zaledwie egzamina inżynierskie, a teraz wstąpił pan do jednorocznej służby! Gdy jeszcze przez rok lub dwa wzajemnie bałamucić się będziemy, gdy ja będę skom-

promitowaną przed światem, a pan już to bawić przestanie, cóż wtedy? Widzi pan, że mi na to odpowiedzieć nie możesz!

— Prawda, że w tej chwili żenić się jeszcze nie mogę. ale... Heleno... ja pana kocham... ja życie całe poświęcić jej pragnę!...

Wyrzekł to w prostocie duszy, bardzo jeszcze świeżej i młodej. Ona, bardziej doświadczona, spojrzała na niego zmieszana, prawie nieprzytomna.

Dawniej słowa moje pani nie galewały; czyliż dzisiaj wszystko się zmieniło?

Znow głowę odwróciła; opanowała ją wzruszenie, przeciwko któremu daremnie walczyć usiłowała. Zdołała przecież wyprostować się i wyrzekła:

— Tak jest, wszystko się zmieniło, o wszystkim zapomnieć trzeba.

Stali tak obok siebie w milczeniu przez chwil kilka, a ona sobie przypomniała, jak zażyłość powstała między nimi, jak nieraz go przyciągała, aż miłość objęła w własne schwyliła sidła.

— Czy pan mnie zrozumiał? — zapytała przytłumionym głosem — nie powracaj więcej!

W oczach jej dojrzał łzy.

— Posłuchaj, Heleno, to co teraz powiem o całym życiu naszym stanowić będzie. Za cztery lata będę miał lat 25. Wówczas kończą się moje studia i wolno mi będzie myśleć o małżeństwie! Powiedz, czy oddałabyś mi wtedy swoją rękę?

Coś ją za gardło schwyliło: „Ja

Opisy gospodarstw wiejskich.

W każdym piśmie rolniczym znajdujemy w odpowiedniej rubryce odpowiedzi redakcyi na zapytania rolników w najrozmaitszych kwestjach odnoszących się do ich gospodarstwa. Czytuję zwykle tę rubrykę i szczerze przyznaję, że na sto odpowiedzi zaledwie może dziesięć uważałbym za trafne, nie dlatego, że redakcyje nie posiadają ludzi kompetentnych w tym względzie, daleki jestem od takiego zapamiętania, ale dla tego, że gospodarstwo rolne nie jest machiną danego systemu, dla którejby zepsuty tryb można zapisać z pierwszej lepszej fabryki, jeżeli się nie zapomni dodać numeru lub marki fabrycznej. Gospodarstwo rolne jest to mechanizm tak skomplikowany, że dokładne funkcyonowanie go zależnem jest od wielu, a wielu warunków. Trzeba poznać wszystkie warunki danego gospodarstwa, aby mózdz osądzić, czy dany mechanizm funkcyonuje prawidłowo, a także podać wskazówki do poczynienia zmian odpowiednich dla uregulowania biegu gospodarstwa. Kto nie zna choćby tylko jednego warunku, ten nie może dać ani jednej rady bez zastrzeżeń. Jest to kwestya, na którą niejednokrotnie zwracano uwagę ogółu rolników, a jednakże ciągle trafiają się dość częste wypadki zastosowania najrozmaitszych ulepszeń bez uwzględniania miejscowych warunków.

Nieraz daje się słyszeć narzekania gospodarzy, że wskazówki podane w pismach nie przyniosły dodatniego rezultatu. Któż temu winien? bynajmniej nie autorowie tych wskazówek, ale sami rolnicy.

Superfosfaty, nawozy azotowe, potasowe i inne, uznane są stanowczo za użyteczne, jednakże czy można radzić komu użycie takowych w danem gospo-

darstwie, nie znając miejscowych warunków.

Rośliny przemysłowe mogą zapewnić dość znaczny dochód czysty, ale w miejscowościach, gdzie brak jest ludzi do roboty w pewnych okresach, mogą przynieść niezliczone straty.

Jeszcze dokładniejszej informacji o warunkach miejscowych trzeba dla zaprowadzającego płodozmian w pewnym gospodarstwie. W wyborze tego lub innego płodozmianu może decydować tylko znajomość wszystkich warunków.

Jednem słowem w gospodarstwie rolnem zawsze i wszędzie powinny być uwzględniane warunki miejscowe i do nich też powinny być zastosowywane produkcya roślin, produkcya zwierząt i przemysł rolny.

Na zapytanie, najczęściej spotykane w pismach: „mam płodozmian x, a chciałbym zaprowadzić y; upraszam Sz. Redakcyę o wyjawienie swego zdania w tym względzie, a jako dodatek — mam ziemię piaszczysto-gliniastą“, jest jedna tylko odpowiedź — „nie wiem“. Bo i rzeczywiście — płodozmian x może nawet nie odpowiadać zasadniczemu prawidłom dobrego płodozmianu, jednakże w danych warunkach może mieć stanowczo pierwszeństwo przed płodozmianem y, choćby takowy najidealniej był zestawiony.

Sasiad fachowo uzdolniony zaprowadza u siebie płodozmian, który odpowiada wszelkim wymaganiom i daje dodatnie rezultaty; a tu patrzysz, w kilka lat okoliczni gospodarze pozaprowadzali ten sam płodozmian i narzekają w dalszym ciągu na straty, a to wskutek tego, że na jedno nie zwrócili uwagi: ten sasiad miał gorzelnię i kartofle swoje spieniężał w formie spirytusu i opasów, a inni takowej nie mieli i część kartofli musieli spasać jako takie, a resztę wywozić o mil kilka a nawet kilkanaście za cenę

nizką z odstawa; tracili więc podwójnie — raz pobierając niższą cenę niż koszt produkcyi, drugi raz — wywożąc kartofle, wywozili razem części mineralne pobrane z ziemi, a zatem ubożyli ziemię.

Niestety, nie jest to obrazek z wyobraźni, ale wzięty z natury; i bezwzględnie można przedstawić tych obrazków setki jednej treści w innej tylko formie.

Jednym lekarstwem przeciw tej, że tak powiem, chorobie są właśnie już nieraz proponowane opisy gospodarstw, t. j. wykazanie wszystkich warunków miejscowych i prawdziwego stanu gospodarstwa.

Gdyby rolnicy nasi zechcieli podawać sprawozdania z swoich gospodarstw do publicznej wiadomości, zawiązałyby się niewątpliwie ciekawe dyskusye w kwestyi prowadzenia gospodarstw w danych warunkach, z których z pewnością dużyby zyskał ogół rolników. A redakcyje pism i ludzie fachowi, mając dokładny opis danego gospodarstwa, byłiby w możności podawać odpowiednie do warunków miejscowych wskazówki do różnych zmian lub ulepszeń. Byłyby jeszcze i inne korzyści — społeczeństwo zyskałoby tym sposobem dokładny obraz rozwoju rolnictwa krajowego, co dodatnio wpłynęłoby na odpowiednie ustosunkowanie różnych produkcyi rolnych w kraju.

Być może, że wielu rolników będzie widziało w tem po prostu ciekawość osób trzecich i nie będzie chciało podawać do publicznej wiadomości swoich osobistych interesów. Ale i na to można zaradzić, sporządzając opisy bez nazw miejscowości, bo głównie tu chodzi o dokładne określenie warunków i podanie rzetelnych cyfr dla zestawienia prawdziwego rachunku; a czy ten majątek będzie pana X, czy pana Y, czy będzie się nazywał „Alfredówka“ czy też „Józefówka“, to zupełnie nie wpływa na system gospodarstwa.

cztery lata“, mówił, jakże jeszcze dziecinny! Czy może sobie przyszłość zawiązać na mocy tej znikomej obietnicy! Lecz cóż odpowiedzieć temu chłopcu, który jej nie chce zrozumieć? co za powód mu podać? O! mój Boże! stał przed nią schylony, oczekując wyroku, tak wysmukły, tak piękny, obejmując ją całą gorącym spojrzeniem... a ona go tak kochała!...

— Nie mi nie odpowiesz? — zapytał pokornie.

Jakże ją dręczy! czyż nie pojmuję, że jeżeli go odeprzeć musi, to wbręw własnemu uczuciu? Przymknęła powieki, żeby na niego nie patrzeć:

— Dziękuję... Konradzie — rzekła — jesteś dobry... ale to niemożliwe... Pożegnajmy się!...

— Więc wszystko między nami zerwane?

— Wszystko — wyrzekła.

Podniosła portyere.

— Ale czemuż to? dlaczego? — pytał z sercem rozdartem i tłumionem łkaniem.

Lecz jej już nie było.

* * *

W dużym salonie hrabina Wanda szukała córki oczyma. Cóż za nowy kaprys zaświtał w głowie tej niepoprawnej i kapryśnej dziewczyny?

— Niema chwili, jak tu była — mówi do prezesa głosem słodkim jak miód.

Zbliżył się służący:

— Panna Helena każe przeprosić ją — mówi panią hrabinę: dla silnego bólu głowy wieczór w swoim pokoju przepędzi.

— Waryatka! — wyrwało się z ust rozgniewanej matki. — Ależ drogi pan jeszcze zostanie, nieprawdaż?

— Przepraszam panią — odrzekł suchym tonem — dla Mici byłoby za późno; przyjdę jutro zapytać o zdrowie panny Heleny.

I nie tając zawodu, opuścił salon. Na schodach tracił Konrada, który również odchodził ponury i bez nadziei.

— Przepraszam! — szepneli równocześnie.

Dziecię szło na przodzie.

— A ty, Miciu, dobrze się przynajmniej bawiłaś?

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie — odrzekła krótko.

Ojciec i córka zasępieni oboje, wskoczyli do sanek, które szybko sunęły w drobnym, białym pyłe, podczas gdy Konrad zrozpaczony pieszo uciekał w żółtem świetle latarni.

VIII.

— Czy pannie hrabiance jeszcze nie jest lepiej?

Może już po raz dwudziesty w przeciągu trzech tygodni, pan Zarembo stawia to pytanie u drzwi marszałkowej, a wita go zawsze ten sam uśmiech służbisty lokaja, który futro jego odbiera, ta sama sprytna twarzyczka garderobianej przy-

biegłej na zwiady. Dzisiaj jednakże od powiedz ta, której się dotąd codziennie obawiał, sprawia mu niewymowną ulgę. Powziął bowiem od rana nieodwołalne postanowienie i przybywa, żeby oficjalnie poprosić panią Walińską o rękę jej córki. Gdyby miał doznać odmowy, toć przynajmniej pozbędzie się nieznośnej niepewności i przestanie go dręczyć straszny niepokój oczekiwania.

Niespokojnym ruchem stawa przed zwierciadłem przedpokoju, poprawia sztywny kołnierzyk koszuli i gładzi złotą swą brodę; poczem bardzo blady, w wyprostowanej postawie, z kapeluszem w ręku, wchodzi do salonu, gdzie hrabina powstaje z wzruszeniem, żeby go powitać.

Z niezrównaną intuicyą matek, pragnących córki za mąż wydać, poznała w mgnieniu oka, że to blade, lecz stanowcze oblicze, cały układ tak wyraźnie urzędowy, czarny surdut i niezwykła etykieta przy wejściu do salonu, są dowodem, iż ważna chwila oświadczyn nadeszła; przywołuje więc na pomoc pewność siebie i wiarę w szczęśliwą gwiazdę Heleny i jej zmysł praktyczny, a usta jej poruszają się niespokojnie, wzywając pomocy św. Józefa, patrona dobrych małżeństw. Potem z wyciągniętymi rękoma, z zachęcającym uśmiechem w wejrzeniu, zbliża się do tak upragnionego zięcia i miękkim głosem, jak gdyby przemawiała do nieśmiałego dziecka, mówi:

Aby jednakże korzyść była większą i obraz gospodarki krajowej był dokładniejszy, niezbędnem jest sporządzenie opisów możliwie dokładnych.

Przemysłowe wykształcenie rękodzielnika.

Czasy, w których rękodzielnikowi wystarczała sama wprawa ręczna w wykonywaniu rzemiosła, minęły już bezpowrotnie. Kwestya zbytu była dlań pierwiej kwestyą małej wagi; kto chciał mieć jakiś wyrób rękodzielniczy, przychodził sam do rękodzielnika, szukał go i zamawiał, co mu było potrzeba. Rękodzielnik, siedząc pilnie w warsztacie i starając się dzieła swej ręki jak najstaranniej wykonać — spełniał już niemal wszystko, co do niego należało.

Jakże odmiennie mają się rzeczy dzisiaj! Konkurencya — już nie tylko między rękodzielnikami, pracującymi w tych samych warunkach, lecz konkurencya z fabrykami, które importują fabrykaty, zastępujące wyrób rękodzielniczy — grozi całemu bytowi rękodzielnika. Nie dość mu już siedzieć w warsztacie i czekać aż kto przyjdzie — musi on nie tylko przedmiot swego zawodu wyrobić, lecz starać się o odbiorcę na nie, musi walczyć i zdobywać konsumenta, częstokroć wśród walki pełnej podstępów, a czasem i nieuczciwej. To też ucieka się o ochronę do ustaw — lecz te nie mogą mu we wszystkim dopomóc. Najsilniejszą i najskuteczniejszą pomoc powinien tedy mieć w sobie samym, a to przez wykształcenie przemysłowe, któreby go do tej walki konkurencyjnej najlepiej przysposobiło.

Oto racya bytu ogólnych szkół przemysłowych, tak zwanych „uzupełniają-

cych“, które w ostatnich lat dziesiątkach we wszystkich krajach cywilizowanych powstają — oto powód przynaglenia terminatorów, ażeby praktyczne swe wykształcenie warsztatowe wiadomościami teoretycznymi uzupełniali — oto środek, który ma rękodzielnika uzdolnić, aby warunki swej produkcji rękodzielniczej umiał obrachować, koszta wyrobu dokładnie skalkulować, książkowość swego przedsiębiorstwa prowadzić, korespondencyą przemysłową utrzymać i być w ciągłym czuciu z temi rozlicznymi interesami, które się na przemysł składają.

Niestety! są u nas jeszcze majstrowie krótkowidzący, którzy potrzeby tego uzupełniającego wykształcenia rękodzielnika należycie ocenić nie umieją — są obojętni dla tej sprawy i, co gorsza, są tacy, którzy swej młodzieży warsztatowej dalsze wykształcenie uzupełniające wprost utrudniają.

A więc w obec dobrodziejstwa nauki ma się jeszcze do czynienia z dziwnem zaślepieniem majstrów, którzy lepszemu oświeceniu rękodzielnika sami zapory stawiają.

Tymczasem tym, którzy cel i konieczność lepszego oświecenia należycie rozumieją, idzie już o co innego — im idzie o to, aby miara tego oświecenia była jeszcze większa, bo warunki działania rękodzielnika stają się coraz trudniejsze. Potrzebą rozszerzenia i udoskonalenia nauki w szkołach przemysłowych — oto troska, która wykształconych rękodzielników dziś w świecie zajmuje; mianowicie w Niemczech, gdzie szkolnictwo przemysłowe od dłuższego już czasu istnieje, podnoszą się głosy, że rękodzielnik za mało ma jeszcze wykształcenia, ażeby ciężycym na nim zadaniom sprostał.

W dziele „*Untersuchungen über die Lage des Handwerkes in Deutschland*“,

wydanem w Lipsku przez czynne bardzo Stowarzyszenie dla polityki socyalnej, podniesiono i udowodniono ową nieudolność rękodzielników w interesach przemysłowych, jako jeden z najważniejszych powodów upadania rzemiosł.

I tak np. najbardziej rozpowszechnionem jest twierdzenie, że wielki przemysł podkopuje rzemiosła dla tego, że obniża ceny wyrobu. Może to być prawdą w tych wypadkach, gdzie maszyny w całości pracę ręczną zastępują, a pracując szybciej, równie dokładnej dostarczają roboty, jak np. w pewnych działach szewstwa maszynowego. Lecz w przeważnej liczbie wypadków oszczędność sił roboczych przez użycie maszyny znika w znacznie wyższych ogólnych kosztach fabryki, tak, że przemysł wielki w porównaniu z przemysłem drobnym, ponosi takie same lub tylko cokolwiek niższe koszta wyrobu. Nie leży tedy w interesie fabryki, aby ceny obniżyć, lecz je utrzymać. A bliższe badania stwierdzają, że obniżka cen wychodzi właśnie bardzo często od małych producentów dla tego, iż się co do kosztów wyrobu obliczyć nie umieją.

Rękodzielnik, obliczając swoje koszta wyrobu, popełnia np. zbyt często ten błąd kardynalny, że sumując poniesione wydatki i doliczając do tego pewne odsetki jak zysk własny — zapomina do kosztów wyrobu dodać wartość czasu, na wykonanie przedmiotu zużytego. — Cała podśawa rachunku jest w tym wypadku fałszywa, a więc i jego wynik, cena wyrobu, błędna. Jeszcze gorzej zdarza się, gdy rękodzielnik ma wystawić kosztorys na dane mu zamówienie; popełnia on wówczas błędy, które go nieraz rujnują.

Saska „*Gewerbeschau*“, z której po wyższe uwagi co do stosunków niemieckich czerpiemy, przytacza, że pewną robotę, która była preliminowaną na 70 mk-

Dla Heleny wybiła godzina walki: nie pora teraz odgrywać przybraną rolę, próbować siły swojego wdzięku na sercach przesuwających się kolejno wielbicielei i stawiać własne serce na hazard tej walki. Nastala chwila, gdy drogę życia wybrać musi. Od trzech tygodni jej uparte milczenie budziło obawę całego domu; dziś wyznaczono jej trzy dni do namysłu: „Pan Zaremba zaszczyt nam uczynił, prosząc o twoją rękę...“ Lecz ona ruchem nakazującym przerwała słowa matki:

— Na miłość Boską!... niech mnie zostawia w spokoju, jeżeli nie mam być powodem nieszczęścia!

— Dobrze, daję ci trzy dni do namysłu.

Drzwi się zamknęły i Helena pozostała sama z rozstrajającymi myślami.

W nocach bezsennych, w gorączkowych marzeniach powraca jej ciągle to samo pytanie nieublagane, dręczące: Czy Konrada przywołać na nowo, odmówić rękę prezesa? Oh! gdyby przynajmniej wymazać z sumienia, pamięci i... serca sześć minionych miesięcy, z jakże dumną obojętnością przyjęłaby skutki tego małżeństwa bez miłości! ale niestety, dziwnem szyderstwem losu, serce jej drzemiące tak długo, obudziło się nareszcie i dzisiaj ta córka stepów kocha pierwszem uczuciem młodości, całą siłą namiętnego serca. Kocha, a jednak innemu sprzeda swą rękę! Ah! czemuż jest uboga? Czemu

jej ojciec, ten możny pan, tak hojny i nie-dbały, którego imię uwieczni na Ukrainie postać polskiego magnata, roztrwonil książęcy posag córki? I ojca swego ostro sądzi, potępia jego lekkomyślną rozrzutność! Młodą dziewczynę chowają w niesłychanym zbytku, otaczają ją wszystkim, co bogactwo dać może; noga jej nigdy ziemi nie dotknie, w stajniach klaczą ulubiona kuta jest srebrem. Na obszernym dziedzińcu, sześciu konnych kozaków czeka na rozkazy pańskie i leci na drugi kraniec kraju, żeby je wypełnić... A potem, gdy dziewczę dorosnie, nadejdzie dzień, gdy ją szorstko z gniazda wyrzucą: „Idź! staraj się podobać, wyszukaj sobie męża!.. idź! bo jesteś uboga, majątek stracony — lecz królewską postawą i pięknością twoją kupisz sobie męża...“ I odtąd, posłuszna rozkazowi, w szalonym wirze obraca się w świecie: zimą można ją widzieć na wszystkich balach, na wszystkich zabawach; latem jedzie do wód i świeci w kurasalach. A gdy losy tak twardą naznaczyły jej drogę, czy kto się o to spytał co się stanie, gdy i jej serce kiedyś do życia się obudzi?... Jakże nędzne to życie!

Gdyby choć mogła usnąć, zapomnieć! lecz w rozpalonej wyobraźni snują się nieublagane obrazy przyszłości: więc najprzód dzień ślubu, bogaty i wspaniały oraz ceremonia wieczorna w kościele OO. Jezuitów. Kilku mężczyzn we fraku; inni w polskim stroju, w okazałym kontuszu o długich skrzydlatych wylotach, które

dumnie zarzucone na ramiona, odkrywają jasny rękaw żupana; pas lity na biodrach, rękosiecz karabeli osadzona klejnotami i wysoka czapka z kitą dyamentową. Panie wesole i rozmowne błyszczą od brylantów i kwiatów; drżące ich ramiona za ledwie przezroczystą gazą okryte. A nawet wśród dźwięku organów, które nawet całą zapelniają, Helena zda się rozpoznać ich głosy żartobliwe:

— Nareszcie się zdecydowała piękna Halka i był już czas po temu! Lat dwadzieścia pięć, to już owoc dojrzały! Matka od pięciu lat wozi ją od miasta do miasta na karnawały, aby ją za męża wydać!

— Czy ten prezes bogaty?

— Bardzo; a jak rozkochany!

— W niej się też można zakochać! Lecz miłość nie wyrówna różnicy dwudziestu lat w ich wieku; no i z czasem, rozumiesz!...

— I jeszcze z jej kokieteryą!...

I mężczyźni uśmiechają się zarozumiale, a panie z po za wachlarzy skromne stroja minki.

Helena widzi siebie samą, jak ją dwóch družbów prowadzi do ołtarza, jak gdyby na śmierć. Za nią Zaremba, dumny i promieniejący, spieszy pomiędzy ślicznymi družkami. Z zadziwiającą przytomnością umysłu śledzi najdrobniejsze szczegóły ceremonii. Wśród zbitego tłumy gości, jasno ubrane panienki rozdają uśmiechy i kwiaty. I słyszy drżący głos wuja biskupa, który błogosławi ich związek.

starował drobny przemysłowiec za 10 m. w innym wypadku za metr bieżący rury wodociągowej wraz z połączeniami żądał po 1.5 mk., podczas, gdy mu udowodniono, że własne jego koszta 1.8 mrk. od metra wynoszą. Taka więc błędna kalkulacja, a przytem brak porządku w rachunkach, niedostateczność zapisków co do długów, ich terminów i wierzytelności, doprowadza na rękodzielniczą ruinę.

Jako błędną taktykę handlową drobnych rękodzielników przytacza rzeczono pismo zachowanie się szewców wobec nagłego napływu obuwia fabrycznego. Nie umieli się zorientować, i uderzyli gwałtownie na fabryki, zamiast wejść z nimi w stosunek. Powinni byli zagarnąć drobną rozsprzedaż obuwia fabrycznego z odpowiednim dla siebie zyskiem, a pozostawić sobie wyrabianie obuwia na miarę i naprawki — tymczasem wypowiedzieli wojnę i odmówili przyjmowania obuwia fabrycznego do naprawy. Cóż się więc stało? Oto magazyny fabryczne poczęły przyjmować do naprawy nie tylko obuwie fabryczne lecz i rękodzielnicze — i tem do reszty zgnębiły drobnych rękodzielników.

A więc obok wprawy ręcznej w wyrobieniu rzemiosła, powinien dziś rękodzielnik mieć także obrotność przemysłową i kupiecką, znajomość cen i źródeł materiałów, jeśli ma się ostać w obec produkcji fabrycznej, a nawet skutecznie z nią konkurować. Samo narzekanie na maszyny nie uratuje go — namiętna walka przeciw fabrykom nie polepszy jego położenia. Pozbywszy się przesądów i uprzedzeń, które każą mu upatrywać złe nie tam, gdzie ono tkwi rzeczywiście, powinien się nauczyć korzystać ze zmienionego położenia i na swą korzyść je wyzyskać. Lecz aby to mógł zrobić i przyznanie się utrzymać, musi już z młodu

starać się o lepsze wykształcenie przemysłowe.

POLITYKA.

Dni kilka ważyły się losy: to z powodzeniem dla Greków, to znów dla Turków, — dziś we wszystkich punktach, gdzie stała armia grecka, grają trąbki do odwrotu i szeregi Greków cofają się w głąb kraju: dziś już wiadomo, że Grecya uległa przemocy tureckiej. Do niepowodzeń oręża greckiego przyczyniło się bardzo wiele czynników, a najpierw: wewnętrzne niesnaski. Już przy wypowiedzeniu wojny Grecya była widownią walki stronnictw, a pierwsze wieści o niepowodzeniach wstrząsnęły tronem, gabinetem ministrów i życiem parlamentarnem w Atenach. Jednocześnie z wkraczaniem wroga w granice Grecyi, zajrzało do niej widmo rewolucyi, bezkrólewia, zmiany rządu: a tak wróg zewnętrzny wewnątrz kraju znajdował stałego sprzymierzeńca. Upadło ministerium, zmieniono dowódców armii: czyż w takich warunkach może się w armii utrzymać duch zwycięski, czyż może pozostać zaufanie do swych wodzów?

Robiono ministrom zarzut, — i słuszny — że oddali kierownictwo armii w nieodwiedzone ręce królewiczów. Wojsku brakło wytrawnego wodza, który by je szlakiem zwycięstwa poprowadził, — cóż mogło więc pomódz kilka szczęśliwie stoczonych potyczek z Turkami, jeśli nie umiano ich wyzyskać?

Armia grecka wreszcie liczebnie była znacznie słabsza. Czyż wobec przemagającej siły wrogów mógł być innym przebieg walki? Lecz te wszystkie uwagi nasuwają się dopiero teraz, gdy zwycię-

skie pułki tureckie maszerują ku Atenom. Dawniej, gdy Grecya parła ku wojnie, zdawało się, że król Jerzy już mógłby pertraktować z mocarstwami o podział Turcyi. Zawiodły jednak wyrachowania, a co się dalej stanie, nie wiadomo. Jak czarny sęp nad sprawą wschodnią zawisła interwencya dyplomatyczna mocarstw: już znowu zaczynają się konferencye ministrów, ambasadorów i specjalnych pełnomocników: już znowu sięć intryg osobistych, prowadzonych w imię powszechnego dobra, oplątuje kwestyę, a kto wie, czy rozplątywanie tych intryg nie będzie kosztowało jeszcze dużo krwi i łez ludzkich...

Powstanie na Kubie wciąż jeszcze stłumionem nie jest. Cała wschodnia część wyspy jest w rękach powstańców, którzy z nieugiętą wytrwałością walczą w zwartych szeregach przeciw hiszpańskiemu najeźdźcy. Nadchodzą wiadomości, że wojska powstańcze pod wodzą Maxima Gomez'a rozpoczęła kroki zaczepne przeciw wojskom hiszpańskim.

Na wschodzie wyspy panuje zupełny spokój pod rządem republikańskim. Rolnicy najspokojniej uprawiają ziemię: szkoły, poczta i sądy funkcjonują prawidłowo. Nawet w okolicach Habany republikanie silnie są zorganizowani. Niedawno jechało 12 oficerów, podkomendnych generała Weylera w tramwaju, łączącym stolicę wyspy z drobnymi miasteczkami. Tramwaj został otoczony przez powstańców, oficerowie rozbrojeni i odesłani Weylerowi, z wyjątkiem jednego, rodowitego Kubańczyka, który jako zdrajca poniósł śmierć na szubienicy.

Ogółem wodzowie powstańczy mają pod swojemi rozkazami obecnie 50,000 ludzi. Co do hiszpanów, przybyło ich z Europy ogółem 190,000; z tych 16,000 żołnierzy zmarło na różne choroby, 14,000

Nareszcie złożyła nieodwołalną przysięgę: coś zdaje się targać w jej duszy; teraz niechaj ją wir świata pochłonie; rzuce się weń bez upamiętania, żadna zapomniała i nowych wrażeń. I dzikie konie ją porywają i uwożą w dal i jedzie, jedzie bez wyczynku, ucieka od stepów słońcystych, od łanów beziemiernych, niechaj rzeki i góry i kraje staną pomiędzy nią a szczęściem utraconem! I zwiedza niewidziane krainy, słucha obcej mowy, docłodzi ją woń kwiatów nieznanych; szeżwi umysł wrażeniem nowości, upaja się słońcem i niebem lazurowem, próbuje zapomnieć, może i zapomni! I cóż potem?... zaszła zmiana Heleny widzenia... "Teraz jest lato, znajduje się na wsi w Galicji. Już zmrok zachodzi; stoi sama na odkrytej werendzie. W tem naprzeciwko na ścianie rysuje się cień niewyraźny... czyż być może? to Konrad! czegoż on od niej żąda? Opiera się o stół z kwiatami, ażeby nie upaść; żal gwałtowny rozdziera jej serce, a słowa wyrzutu zamierzają na jej wargach. Przymknęła oczy, żeby go nie widzieć; lecz strach ją ogarnia, aby nie zniknął i wyciąga dłonie. On także ramię otworzył i ręce ich się wiążą; głowy się zbliżają, usta w jednym łączą się westchnieniem!

Szalona!

Helena się obudziła; siada w łóżku, a czoło jej naprzemian wilgotne i gorączką spalone. O! szalona! szalona! Zkąd te złe myśli, które umysł jej nawiedzają? Zkąd

te niezdrowe marzenia? I liczy uderzenia starego zegaru, którego głuchy, złamany głos zda się psa skowyczeniem i brzmi jak śmierci zapowiedź.

Dopiero północ?

Cisza i ciemność dokola. Tylko zawieszona przed Czestochowskim obrazem lampka rzuca migotliwe blaski na ściany pokoju.

Helena spogląda na oblicze Matki Bożej.

Jakaż pomoc przychodzi jej teraz w godzinie pokusy od tej jedynej pocieszycielki, której wzywać nie przestała, do której tyle gorących wysłała prośb i westchnień? I gniewnie się odwraca od ciemnego oblicza trzykroć szabłą ciętego, od tej Królowej, która niema i głucha patrzy na nią w błyszczącej złotej aureoli. I na cóż się zda modlitwa? Helena szuka w myśli, coby mogło w tej nocy bez końca oddalić od niej dręczące wspomnienia. Może książka, jedna z owych powieści francuskich, które długie skracają godziny? I rzucając na przeczystą Dziewicę wyzywające spojrzenie, otula się spiesząco w biały „peignoir“ kaszmirowy i pocięgu wysuwa się z pokoju. Pani Walińska składa w salonie przesyłki paryskiego księgarza.

Spokój na całym pięttrze panuje; tylko z garderoby dochodzi głośny oddech śpiących dziewcząt służebnych, a z pod drzwi marszałkowej przesuwają się wązkie promień światła.

Na ulicy śnieg pada cicho, bezprześcannie i coraz grubiej okrywa ziemię miękką, białą koldrą.

W dużej sali zimno bardzo, sprzęty rzucają szerokie cienie po rogach; Helenę dreszcze przejmują. Przy niespokojnym blasku świecy, wysokie obicia ścian zdają się poruszać. W półcieniu suknia jej zahaczyła się o stolik i z przeciągłym szelestem wysypują się z koszyka karty wizytowe. Helena schyla się, ażeby je zbierać i bezwiednie zbliżywszy się do świecy, odczytuje nazwiska. Więc najprzód hrabia Władysław, który od roku zawzięcie się stara o jej względy, a nigdy o rękę nie prosi; piękny książę Paweł, namiętny jej wielbiciel, choć sam żonaty i ojciec rodziny; pan Augustynowicz, młody Ormianin; Majewski, Zaleski i cały zastęp nieznaczących jej zdobyczy. Wszyscy tu zebrani: imiona nowej szlachty śmiesznie wyglądają poprzedzone francuskim *de*, lub obecnie tytułami: *chevalier*, *comte*, *baron*; karty te często upstrzone malowanym lub wyciśniętym herbem i zaopatrzone we wszystkie imiona, godności, nawet przydomki i nazwę herbu; podczas gdy szlachta starej daty z dumną prostotą na białym papierze wypisuje nazwisko pańskie, rodowe, świadoma sobie, iż obejdzie się ono bez komentarza.

(Ciąg dalszy nastąpi)

padło w bitwach, 10,000 odesłano do ojezyny, zostało więc 150,000, z których — według dr. Bétancésa — 40,000 jest tak chorych, że trzeba ich będzie odesłać również. Powstańcy, zahartowani i przyzwyczajeni do klimatu, potrafią opierać się jak najdłużej pozostałym, a tymczasem w Hiszpanii, której organy już dziś Kubę nazywają „górami krzyżową narodu hiszpańskiego“, mogą rozwielić się prądy opozycyjne i zmusić rząd do zaprzestania wojny z Kubą.

I gdzie tylko rzucimy okiem, wszędzie wrę walka o wolność, o niezależność, o zrzućcie więzów. Jak też to smutnie o świat jest urządzony, że bez tej walki się obejść nie może. Jak to źle, że muszą się zawsze znaleźć ludzie i narody, którzy innych ludzi i inne narody chcą zgnieść, zgnieść zdeptać... Lecz jakie to szczęście dla świata, że w sercach gnębionych wciąż żyje chęć do walki o byt — bo gdyby inaczej było, świat cały miałby postać jednego ogromnego cmentarzyska, gdzie pogrzebane byłyby najpiękniejsze sny ludzkości: wolność, równość, prawo i sprawiedliwość...

Sprawa polska

w sejmie pruskim.

W obronie praw ludności polskiej przemawiali w sejmie pruskim posłowie polscy. Przeciwnikiem Polaków był, jak zwykle, ze strony rządu minister *Bosse*. Na wywody ministra, który starym obyczajem robił rozmaite zarzuty Polakom i twierdził, że Niemcy bronią się tylko — odpowiedział **ks. dr. Jazdzewski**:

»Minister twierdzi, że staje tylko w obronie prawa. Na nieszczęście, jak nam się zdaje, pan minister w rozmowaniach swych kierował się zasadą, że **racya i prawo zawsze jest po stronie rządu i że ludności wogóle żadne prawa nie przysługują**. Bądź co bądź, widocznym jest, że p. minister wszystkich używa sposobów, aby zniemczyć ludność polską przeciw jej woli i prawu. **Narodowość polska jest tak dobrze jak każda inna uprawniona do bytu na zasadzie prawa przyrodzonego. Obowiązkiem, od którego państwo uchylić się nie może, jest szanowanie tego przyrodzonego prawa ludności polskiej.**

Weźmy naprzykład na uwagę sprawę klasztorów w prowincjach polskich; niema ani jednego klasztoru, tak, że rodzice, którzy dbają o katolickie wychowanie swych dzieci, zmuszeni są odsyłać je za granicę.

Rząd nie dał swego pozwolenia nawet na urządzenie przytulisk dla dzieci, ponieważ i w tem obawiał się agitacji polskiej! Bał się, aby dzieci nie nauczyły się mówić i modlić po polsku! — i nawet nie raczył umotywić swej odmownej odpowiedzi! Moi panowie, to są warunki, w których sprawa oświaty żadną miarą na dobre torę wejść nie może. **A dla czego Wielkie Księstwo Poznańskie jest jedyną prowincją, która musi uskarżać się na brak uniwersytetu?** W gimnazyjach poznańskich brak nauczycieli władających językiem polskim: a czy mało ich jest po za granicami prowincji polskich, dokąd rząd ich powysyłał, aby im nie dać sposobności prze-

bywać w ojezynie. Wykład religii w języku obcym prowadzi do najgorszych dla całego cywilizowanego społeczeństwa wyników. **Jakim sposobem chce pan minister walczyć z żywiołami przewrotowymi zapomocą wpływu religii, jeśli jednocześnie tamuje ten wpływ przez język wykładowy, którego dzieci nie rozumieją?** Czy to nie są rzeczy, przeciw którym powstać musi w samym kraju opozycja? A jeśli minister chce zarzuty swe kierować przeciw prasie polskiej, to nie powinien zdziwić się jej ostrym i gorzkim tonem, bo okoliczności go w zupełności tłumaczą, a gdzie on się staje zbyt zjadliwym, toć są przecież w Poznaniu prokuratorzy i nie można im lenistwa zarzucić. **Gdy uprawnione żądania ludności polskiej będą uwzględnione, umilkną skargi, i agitacja ucichnie.** Uwzględnienie tych uprawnionych żądań powinno być naszym wspólnym celem! (Oklaski)«.

W podobnym sensie przemawiał prezes Koła polskiego w sejmie pan radzca **Motty**:

»Dziwić się należy jakim sposobem rząd uważać może luzne, wyrwane z całości, pojedyncze zdania prasy polskiej za dowód, że Polacy chcieliby oderwać prowincje polskie od Prus. Rząd nie obchodzi się z nami tak, jak na to zasługujemy. **Rząd chce nas gwałtem zgermanizować; to nie jest słuszne: My chcemy być obywatelami pruskimi i sumiennie wypełniamy wszystkie obowiązki, które na nas z tego tytułu przypadają, lecz rząd nie osiągnie tego nigdy, abyśmy przestali być Polakami.** Obecna polityka rządu może tylko przyczynić się do zaostrzenia istniejących stosunków. Zaostrzenie to nie leży w interesie ani Niemców, ani Polaków, ani państwa. Dlatego też rząd najlepiej by zrobił, wracając do polityki hr. Capriviego z takim powodzeniem zastosowanej niegdyś wobec Polaków«.

Pan poseł **Schroeder** słusznie zauważył:

»Polacy szczególnie dla Niemców byli przychylnymi; w państwie polskiem nie brako szkół ani kościołów niemieckich, bo każdy Polak za hańbę by sobie uważał dążyć do pozbawienia kogośkolwiek jego mowy ojczystej. Polacy w dzisiejszych czasach nie zasługują na takie gwałcenie praw [im z natury się należących. Dążenia germanizacyjne są jedyną przyczyną tak złych stosunków w prowincjach wschodnich. My się przecież bronąć musimy, każdemu jest wolno, a nawet **każden powinien bronić swych najdroższych skarbów: narodowości religii, języka.** Nawet książę Bismark gdyby dziś był u sferu, nie pozwolił by na tak dowolne tłumaczenie praw istniejących, jak się to dziś dzieje z krzywdą dla Polaków.

Rząd myli się bardzo, sądząc, że nas można zniemczyć przeciw naszej woli. To trudne do pojęcia zaślepienie gorzkie kiedyś wyda owoce«.

Tak przemawiali posłowie nasi. Widocznym jest, że do serca wzięli sobie niedolę ludu polskiego i że chcą go bronić. Dzięki im za to!

PRZEGLĄD PRASY.

Broszura Dr. Skarzyńskiego wywarła wielkie wrażenie w kraju, największe jednak w „*Dzienniku Poznańskim*“. „*Dzien. Pozn.*“ przemawia dziś zupełnie innym językiem niż przed ukazaniem się broszury. Notujemy dwa artykuły. Jeden, zatytułowany „*Etat kultu*“ (ma być: Budżet ministerium oświaty i wyznań) zawiera następujące charakterystyczne zdanie:

»Jesteśmy bardzo ciekawi*) na dosłowne brzmienie mowy ministerjalnej i nie chcemy, nie mając jej pod ręką, gubić się w domysłach o pomysłowości pana ministra. Tyle pewna, że różga agitacji wielkopolskiej, którą nas dotychczas smagano, zaczyna puszczać nowe latorośle. Jest tedy w mowie p. ministra oprócz ogólnej wielkopolskiej agitacji, agitacja dzika i agitacja pokojowa, której to mianowicie ostatniej inaczej rozumieć nie można, jak że całe, choćby najskromniejsze istnienie nasze narodowe, zawadza panu ministrowi Bossemu. Jak nas zapewnia, póki on będzie u steru szkoły, nie przestanie zwalczać wszystkich klas agitacji, jakie sobie ułożył w swym systemie antypolskim.

Oczywiście przeszkód innych stawiać mu w tem nie możemy, jak odwołując się czy to z trybuny, czy w prasie, na lepsze prawo Boskie i ludzkie, które nam przecież musi przynajmniej kiedyś możliwość życia w tej narodowości, w której nas Opatrzność postanowiła«.

Jakże to chwalić dziś trzeba szczerłość i otwartość „*Dziennika Pozn.*“, który niegdyś tak był umiarkowany i tak doradzał zachowanie możliwego spokoju i na trybunach i w prasie, który sprzeciwiał się „niepotrzebnemu drażnieniu“. Dziś „*Dziennik*“ łączy się z tymi, których zdanie niegdyś potępiał, jako „bezcelowe rzucanie się“. Jest to bardzo ładnie ze strony „*Dziennika Pozn.*“ Widocznym broszura Dr. Skarzyńskiego zrobiła swoje...

W numerze z ostatniej soboty idzie „*Dziennik Pozn.*“ jeszcze dalej, mówiąc:

»W obecnym położeniu rzeczy mowcy nasi, umiejący dać wyraz oburzeniu umysłów i uczuć w kraju, zyskują tamże poklask największy, skoro jest notorycznym, że największe umiarkowanie nasze parlamentarne nie osiąga żadnego skutku i nie wywiera żadnego wrażenia na przeciwnej stronie. Bynajmniej nie myślimy popychać posłów naszych do szukania taniej popularności. Stwierdzamy tylko fakt, za który wina spada na system antypolski«.

Cytaty powyższe wymownym są dowodem, jak chętnie „*Dziennik Pozn.*“ dopasować chce swe zdanie do panującej w kraju opinii! —

* * *

Nikt nie może zaprzeczyć temu, że „*Oredownik*“ jest jednym z tych pism, które najwięcej przyczyniły się do rozbudzenia świadomości zadań społecznych i narodowych w średnich warstwach społeczeństwa naszego. Lecz im donioślejszym

*) Mówi się po polsku: ciekawi dosłownego brzmienia.

jest wpływ jego na te średnie warstwy, tem więcej ważyć powinien swe słowa a zwłaszcza w politycznych swych zapatrywaniach jak największą rozwagę zachować.

Pod wrażeniem broszury Dr. Skarżyńskiego, a zarazem pod wrażeniem nowego zwrotu w polityce Koła polskiego zastanawia się „Orędownik“ nad obecną sytuacją polityczną i takie daje wskazówki Kołu polskiemu:

»Stosunek między koroną a parlamentem staje się w opinii publicznej coraz bardziej naprężony i przewidzieć nie można, jak daleko to naprężenie sięgnie.

Taka sytuacja w Niemczech — naszym zdaniem — daje wskazówkę postom ludności polskiej, ażeby się od tego terenu, na którym się owo rozdrażnienie w Niemczech wyrabia, jak najdalej trzymali, by się czasem następstwa tego rozdrażnienia i naprężenia nie dały uczuć także osobno naszej ludności.«

Szkoda, że „Orędownik“ nie mówi, jakiego rodzaju zżubne skutki mogłyby dla nas wynikać. Możebyśmy się łatwiej na jego zdanie zgodzili. Nie możemy jednak zgodzić się z „Orędownikiem“ gdy tenże pisze:

»Naszym zdaniem Koło parlamentarne nie powinno obecnie prowadzić ostentacyjnej polityki, tylko unikać ostentacji i wycofywać się z dawnego stanowiska, żeby jak najmniej mieć styczności z temi czynnikami, które prą do coraz większego rozdrażnienia opinii publicznej wewnątrz Niemiec.«

Ostentacja, a werbowanie sobie sprzymierzeńców pomiędzy stronnictwami rządów również jak i my niezadowolonymi są to dwie zupełnie różne rzeczy.

Do wręcz sprzecznych z Orędownikowemi wniosków przychodzi też „Dziennik Berliński“, który po długim namyśle przemówił wreszcie, i jak sądzimy, przemówił dobrze.

Podług „Dziennika Berlińskiego“ sytuacja parlamentarna dziś właśnie wskutek nieporozumień rządu z przedstawicielami narodu taką przybiera postać, że ze strony Koła polskiego pożądana by była jak największa ruchliwość i branie żywego udziału w życiu stronnictw. Koło polskie powinno nawiązać stosunki nie tylko z centrum, ale i z innymi stronnictwami, nie wyrzekając się wcale opozycji.

„Dziennik Berliński“ pisze:

»Opozycja nasza jest obecnie skierowana przeciw stronnictwom, a to jest błędem. Ponieważ obecny system państwa w y jest nam nieprzychylny, powinniśmy starać się o jego zmianę za pomocą stronnictw, popierając nawzajem stronnictwa w tych wypadkach, gdzie one występują z żądaniemi do państwa. Gdzie one tylko ze sobą walczą, tam nie potrzebujemy wcale mieszać się do walki, jeżeli nie chodzi o nasze własne interesa.«

„Dziennik Berliński“ uznaje słusność polityki opozycyjnej:

»Wystąpieniem ks. prałata dra. Jażdżewskiego dało Koło polskie nowy dowód, że trzymać się będzie w postępowaniu swem polityki bezwzględniego dopominania się o przynależne ludności polskiej prawo. Każde wystąpienie Koła polskiego w tym kierunku powitanem będzie w kraju z niekłamana radością, bo społeczeństwo nasze ma poczucie praw swych i chce tych praw dochodzić. Każda uprawniona skarga, każde oparte na gruncie prawnym opozycyjne

wystąpienie podnosi ducha w narodzie i krzepi jego wewnętrzne przekonanie, że nie siła przed prawem, lecz prawo idzie przed siłą.«

Uznając jednak słusność opozycji, przeciw rządowi „Dz. Berliński“ zaznacza, że nie cały ogół niemieckiego społeczeństwa solidaryzuje się z systemem rządowym, zarówno jak i my się z nim nie solidaryzujemy.

W tym fakcie upatruje „Dz. Berliński“ cel naszej polityki, bliżej jej nie określając:

»Ponieważ rząd głuchym jest na wszystkie interpelacje polskie, owoców żadnych w tym kierunku z interpelacji i skarg spodziewać się nie można: częste poruszanie sprawy polskiej przed forum parlamentu ma jednakże tę dobrą stronę, że może wreszcie przyczyni się do rozproszenia bezpodstawnych uprzedzeń, jakie ku nam żywią niektóre koła społeczeństwa niemieckiego. Ze społeczeństwem tym chcemy żyć w zgodzie i każde polepszenie stosunków powitanem będzie przez nas z radością.

Jeżeli mowy posłów naszych choć w tym kierunku nie będą bez wpływu, — to i tak już będzie dosyć. **Od rządu niczego się spodziewać nie możemy, od społeczeństwa niemieckiego — bardzo wiele.**«

Aby dać dowód, że istnieje w narodzie niemieckim poczucie sprawiedliwości trochę różniące się od tego, którem się rządzi wobec nas rząd, „Dziennik Berl.“ skrzętnie notuje charakterystyczne fakty. My tu zaznaczymy jeden, dotyczący przekonania, jakie panuje w niektórych — świątliwych — kołach społeczeństwa niemieckiego względem systemu rządowego, a specjalnie nauki języka polskiego:

Dr. Fryderyk Paulsen, profesor uniwersytetu berlińskiego znakomity pedagog i filozof, pisze jak następuje:

»...Szczerych i głębokich uczuć nie można robić przedmiotem podniecenia lub elokwencji, boć korzenie wystawione na słońce więdną.

Jest to punkt widzenia, który uwzględniać należało także przy kwestyi językowej i narodowościowej w szkole. Nie sądzę, żeby skoro poczucie narodowościowe stało się już raz potęgą w życiu narodów europejskich, było możliwem wszczepić za pomocą szkoły i nauki językowej obcą narodowość z odpowiedniami uczuciami. Przy mus obcego języka połączony z postępowaniem lub gnębieniem języka ojczystego budzi raczej świadomość narodową także w kołach, w którychby inaczej drzymała, poczem staje się narodowy popęd samozachowawczy zarazem polityczną opozycją.«

Zdań takich znalazłoby się więcej. A wobec tego, czy Koło polskie i społeczeństwo polskie ma usunąć się z areny politycznej, czy też solidaryzować się ze stronnictwami niemieckimi i czekać kto zwycięży: czy system rządowy, czy metoda sprawiedliwości w polityce, reprezentowana nie tylko przez nas, ale i przez Niemców? — Na ten raz „Orędownik“ się pomylił.

„Postęp“, choć zbyt monotonicznie i nużąco przygrywa wciąż na jednej i tej samej stronie antysemityzmu, ma tę niewątpliwą zasługę, że — pokazując ludowi polskiemu jego zależność od obcoplemieńców, pobudza go do oglądania się wokoło i do rozumienia całej wagi ekonomicznej

niezależności narodu. Pod tytułem „Smutne“ pisze „Postęp“.

»Mimo, że nie masz dnia prawie, aby „Postęp“ nie przestrzegał publiczności naszej przed wyzykiem obcym, żydowskim, i nie zachęcał do bacności przed niszczącą nas gospodarką hakatystów, to jednakże nie tylko szlachta, ale i zamożni a mienni gospodarze nasi, idą na oślep w objęcia tej spółki, zasilając groszem swoim tych, którzy dławiąc nas, radzi by nas w łyżce wody utopić. O ile przyjemnie nam było na kilka tygodni przed świętami patrzeć, jak niektórzy kmiecie nasi całemi kupami ładowali towary i meble na powózki ze składów swojskich, o tyle przykrym i wstrętnym był dla nas widok jak pewien młody gospodarz ze wsi »Małe«, który się niedawno ożenił, w poniedziałek dnia 26 bm. naładował meblami wóz swój z pewnego żydowskiego magazynu przy Starym rynku.

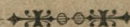
W popieraniu swojskiego przemysłu i handlu, w trzymaniu ojcowizny w swym ręku, tam tylko leży podniesienie dobrobytu naszego, a przez dobrobyt utrzymanie religii i narodowości naszej.«

* * *

Krakowski „Czas“ organ stronnictwa ugodowego w Galicyi zamieszcza następującą korespondencją z Warszawy:

»W Warszawie jest niewątpliwie znaczna zmiana na lepsze. Przedewszystkiem jest o wiele więcej trzeźwości i dojrzałości w łonie samego społeczeństwa. To było koniecznym warunkiem postępu, wyrobienia i zdrowia dla samego polskiego społeczeństwa. Oddawna już ludzie wyżsi, stojący na czele obywatelskiej pracy, tudzież wszystkie elementa konserwatywne, pragnęli zmiany w zapatrywaniach i wewnętrznych kierunkach politycznego rozwoju kraju. To jednak, co było ich dążeniem i programem, na legalności opartym, spotykało dawniej nie z ich winy niesłychane trudności, wynikające ze systemu rządów Hurki i Apuchtina, który polegał nie tylko na prześladowaniu, ale na ciągłym drażnieniu ludności polskiej. *Trudno jest przemawiać do rozważli i rozsądku, głosić potrzeby polityki ugodowej i starać się o pojednanie z państwem, kiedy wszystkie akta władzy państwowej noszą znamiona ucisku i dokuczliwości dla społeczeństwa polskiego; kiedy się urządzi ciągle i nieustannie szczytowanie i nagananie na Polaków; kiedy się ich zewsząd wypiera i wszędzie ogranicza; kiedy się ich wszystkich, a nawet posługaczy kolejowych oddala, a na ich miejsce kacapów z głębi Rosyi sprowadza. Takie rzeczy odczuwa ludność w najniższych nawet warstwach i w takich warunkach głosić idee ugodowe, byłoby rzucić nie tylko groch o ścianę, ale nawet drażnić zboliałe społeczeństwo, zapędzać je w stronę przeciwną, aby dawało posłuch skrajnym żywiolom i niesumiennym, agitatorom.*

Widocznem więc jest, że chwila obecna jest przelomową w rozwoju społeczeństwa polskiego. Gdy pisma tak stronnice i tak uparte w swej polityce jak „Czas“ dziś skłonne są do zwrotu — jasnym jest, że siła konieczności je zmusza do tego. Że też my wtedy tylko stajemy się rozumniejsi, gdy nas konieczność rozumu nauczy! Smutne to, a jednak prawdziwe: widoczniesmy jeszcze nie- dość odebrali ciągów.



Trzeci Maj.

(w 106-stą rocznicę konstytucji 3-go Maja).

Wszehmocny Boże, wiekuisty Panie!
W drogą rocznicę dla naszej Ojczyzny
Do Ciebie dzieci zanoszą błaganie
O przywrócenie nam drogiej spuścizny.
Boże daj! Boże daj!
By nam wrócił **Trzeci Maj!**

Jedna nadzieja w Tobie, Niebios Panie!
Tyś pieśń w nas stworzył, by w synach
[niedoli,
Ufnosć wzbudziła, *wiarę w zmarłych wstąpiła*
Stalność, braterstwo, lot ducha sokoli. [nie,
Boże daj! Boże daj!
By nam wrócił **Trzeci Maj!**

Z pieśnią na ustach, a w sercu z miłością
Podążym śmiało wśród burz i zawiei,
Potężni duchem, wierni wytrwałością,
Krzepieni pieśnią wiary i nadziei.
Boże daj! Boże daj!
By nam wrócił **Trzeci Maj!**

A więc do pracy! — łączmy serca nasze,
Niechaj nas stany nie dzieli w miłości,
A wówczas przedzej sprawy święte lasze
Utorują nam drogę do jedności.
Boże daj! Boże daj!
By nam wrócił **Trzeci Maj!**

KRONIKA.

Siedziałem w ogródku mej willi na Lazarzu — o tyle mojej, że w niej mieszkałam, i zjadłem delikatną majową rzepkę — posypując ją solą. Nie jadłem jej dla tego, aby przejąć się pieprzykiem rzepki i słonością soli celem wyzyskania i jednego i drugiego w „Kronice“, bo nie miałem pojęcia, że mię do tego powołają, lecz dla tego, że lubię rzepkę.

Drogą prowadzącą koło mego ustroonia wleczę się dziedzi siwy z długą brodą i orlim nosem. Stał i patrzył na mnie. Przyglądam mu się bliżej: Dalipan to Ahasverus! — A czego to? pytam.

— Wypędzili mnie z „Pracy“ i znowu się muszę tulać po świecie.

— A coś zbroił? Ano! wdałem się w nieswoje rzeczy — rzecze dziad.

— A to ci dobrze zrobili — czego wdałeś się w nieswoje rzeczy — idź gdzie pieprz — nie gdzie czosnek rośnie.

Spojrzał na mnie wzrokiem bazyliuszki i posztykował dalej — wygrażając pięścią w stronę Poznania.

W tej chwili jeden z wychowalców zmarłego Stefana oddaje mi list. Otwieram, czytam i dowiaduję się, że mam pisać Kronikę dla Pracy. Ja z św. Lazarza mam mówić o Poznaniu. No! czemu nie. — Kiedy inni z dalszych stron pisują o Poznaniu, dla czegoż ja z Lazarza nie mam pisać.

Przecież to tak łatwo wytknąć jakiś błądzik, lub śmieszność — naprzykład, że Grecya zrobiła głupstwo zaczepiając Turka i że teraz gorzkie lży leje.

Żyjemy w maju więc uśmiechajmy się słodko do siebie i myślimy o majówkach. Lecz dokąd majówkę urządzić czy do „Villi Flory“, czy do Urbanowa, czy wreszcie do Wiktorya Parku — nad tem niech sobie łamią głowy Zarządy Towarzystw — ja na każdej się stawię i będę się ba-

wił wraz z innymi wykrzykując: Niech żyje maj! Dobra to rzecz zabawa, bardzo potrzebna — ale — wszędzie jest ale — trzeba zabawę urządzać skromnie a szczególnie ci, co biorą w niej udział powinni zawsze pamiętać, że po majówkowej niedzieli następuje poniedziałek. W tem jest ów sęk — życze, aby majówkowiec nie mieli „BlauMontagu“. Proszę się nie obrażać, bo rada nie jest złośliwa, lecz życziwa. Mógłbym już skończyć o majówkach, ale przypomina mi się biedna dziatwa, przypomina mi się, że dawniej już pisano odezwy, aby zgłaszano się z gościnną dla dziatwy poznańskiej. Czy Wydział kolonii feryjnych Tow. „Stella“, wszystko bierze na siebie, czyli też nie zawezwie pism do pomocy? Zdaje mi się, że gdyby pod tym względem wszystkie pisma zgodnie z sobą postępowały, moglibyśmy bardzo dużo naszej dziatwy poznańskiej wysłać na wieś. Przypominam sobie, że naczelny redaktor „Dziennika Pozn.“ w jesieni przeszłego roku bardzo sympatycznie pisał o koloniach wakacyjnych i cieszył się, że grono obywateli zajęło się wysyłką dzieci, to też „Dziennik Pozn.“ zrobił swoje, bo wiadomem jest, że naczelny redaktor „Dziennika“ popiera wszystko, co dobre i pożyteczne. Ale tu chodzi o to, żeby też „Orędownik“ nie odmówił pomocy, on, co tyle chce czynić dla ludu, jeszcze ani razu nie zajął się koloniami feryjnymi w łamach swego pisma. Może wreszcie pozna, że teraz stosowna pora do tego. „Kuryer“ mógłby także pomódz — również „Goniec Wielk.“ a „Wielkopolanin“ pewno będzie pamiętał o dawnej tradycji. Był czas — dawno to temu wprawdzie, że wysyłano 300 i więcej dzieci, dziś się ta liczba znacznie umniejszyła, a przecież powinna się była zwiększyć, bo i miasto się rozrosło i ludności przybyło. Nie wchodzę bynajmniej w atrybucje zarządu kolonii feryjnych — korzystam tylko z prawa kronikarza, któremu o wszystkim wolno pisać — byle bez złości i bezstronnie. — Widzisz droga polska dziatwo, że wszystkie pisma będą dla was pracowały, abyście mogły odechnąć świeżem powietrzem i baki zbijać na murawie. A wy co? Umiecież wy wszystkie pacierz, umiecież wy czytać po polsku? He! — Pewno źle byłoby z wami, gdybym was wzięł na egzamin. „Amtssprach“ się zajmujecie — a o swojej mowie zapominacie. — Spotyka mnie niedawno temu pewien malec i pyta: Wie spät ist es? — Patrzę na berbecia — widzę, że to dziecko polskie — dalejże go więc za ucho: — A ty wróblu nieznośny, takto ty świergocesz? — Paniczku, już wiem, jak mam mówić — wola malec — którego zresztą tylko lekko za narzędzie słuchu ująłem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — która godzina?“ — „A widzisz — miły ptaszku — jak to ładnie brzmi — już nie wróbelek z ciebie gada — tylko słowik. — Na wieki wieków amen — godzina czwarta — naści karmelek — niosłem właśnie łakocie dla swoich dzieciaków. — A pamiętaj o tem, że nie kto inny ci dał mowę tylko Pan Bóg — to też dziękuj mu codziennie za ten piękny dar, ale w swojej ojczystej mowie. Malec wysłuchał uważnie słów moich i chrupiąc karmelek pobiegł, gwizdając pieśń narodową, jakby mię chciał przeprosić za błąd popełniony.

Gerwazy.

Powiedziała matulenka...

Powiedziała matulenka,
Ze mi z chaty czas,
Ano, pójdę, gdzie zorenka
Już różowi las.

Pójdę słuchać, czy w gęstwinie
Skrós tych skrzących ros,
Wśród świergotu nie popłynię
Ku mnie tęskny głos.

Może weźmie mnie skrzydlaty
Z tego boru ptak
I poniesie z białej chaty
Przez ten modry szlak.

Nie ciężylabym mu w locie,
Gdyby skrzydłem bił,
Jak na łącznych kwiatów zlocie
Nie zaważy pył.

Jasne puchy bym muskała
Sama, jako mgła,
I u piórek bym wisiała,
Niby srebrna iza.

Razemyśmy mknęli w górze,
Ja — mój sokół-ptak
W skowronkowych pieśni chórze
Przez ten górny szlak.

A gdybym mu zacieżyła
U słonecznych bram
Lżą bym spadała, gdzie mogiła,
On — niech leci sam...

O doniosłości oświaty

przez

Witolda Leitgebra,

przezesa Towarzystwa „Skala w Kolonii“.

(Ciąg dalszy.)

Wielka prawda mieści się w słowach, które poseł chłopski Jakób Bojko z Gręboszewa w Galicyi wypowiedział na zeszłorocznym obchodzie powstania styczniowego we Lwowie: „...że dziś włościanin polski, jeżeli nie każdy, to przynajmniej jeden na stu, wie, że jest Polakiem, że zna Kościuszkę i bohaterskich wodzów naszych i królów lepiej, aniżeli ich znali współcześni, że Polska pozyskała i pozyskuje coraz więcej między ludem synów“. Dziś, gdyby nakazano wśród Polaków powszechną obławę i pochwymano wszystkich ludzi, pracujących dla oświaty ludu, nie możnaby już jej zgasić. Ani czytelnie i odczyty niemieckie, ani z natchnienia germanizatorów wydawane pisma i książki chociażby w języku polskim, ludu już nie zbalamucą, sprawie narodowej krzywdy nie wyrządzą. Nie znaczy to wcale, że obojętnie i lekceważąco możemy patrzeć na te zabiegi germanizatorów, przeciwnie, należy im przeciwdziałać energicznie, bo chociaż ludu dla polityki nam wrogiej nie zjedną i nie zwrócą go z drogi, po której kroczyć począł, to w wypadkach pojedynczych dużo złego zrobić mogą. Książkom i pismom niemieckim przeciwstawić trzeba jak najwięcej książek i pism polskich, pożyczać je do czytania, darowywać, zachęcać do czytania. Nam zwłaszcza na wychodźstwie należy jak najwięcej czytać i uczyć się rzeczy polskich, przyłożyć usta do tego dzbanka z wiedzą

i pić, pić z niego, jakbyśmy na wieki napić się mieli. Nam nie wystarcza palec umaczać w morzu oświaty, ale całemu pograżyć się w niem i skąpać się w ożywczych jego wodach. Kąpiel taka da nam ludzi tęgich, zahartowanych, prawdziwych krzewicieli cnót domowych i obywatelskich. Więc Bracia, słowa te zapiszcie sobie w pamięci i sercu. Nie tracmy nadziei, nie wątpijmy w miłosierdzie nieba nad nami, ale podziękujmy raczej Bogu za prześladowania, bo niemi właśnie dopomogli nam nieprzyjaciele do oświadczenia ludu naszego.

W ludzie przyszłość, w ludzie siła,
On odkupi ojców winy,
On postawi gmach wspaniały,
Co wyrosnie nad ruiny.
Tylko trzeba wznieść go w górę.
Iść z nim razem prosto, zgodnie,
Przedewszystkiem zaś należy
Światła przed nim nieść pochodnię,
Bo bez światła — nie ma cudu,
Bo bez światła — nie ma ludu,
Bo bez światła — ciemność grozi,
Bo bez światła — chłód zamrozi.

Charakter naszego duchowego dorobku ostatnich lat trzydziestu ocenić można jedynie na tle politycznych zapasów, jakie staczaliśmy przemocą i gwałtem. Bog stworzywszy nas Polakami, wiedział czemu i dla czego to uczynił, a jeżeli Pan Bóg nie rychliwy, to przecież sprawiedliwy. Bismarck przyłożył siekiere do samych korzeni bytu narodowego, a gdy lud poczuł, że to boli, że krew płynie, wzdrzgnął się, ocknął obiedwie ręce wyciągnął po to, co mu wydrzeć chciano i dziś gromadnie się garnie do obozu narodowego. Wieśniak polski, ta podwalina naszego narodu, ten lud, z łona którego Piast, pierwszy książę polski wyszedł, dawniej kiwał tylko głową nad miską kaszy, dziś bierze do ręki gazetę polską, bo wie, że przez pilne czytanie gazet jasniej na świat patrzy, bo przez okulary oświaty przejrzał, którą ma iść drogą. Rzeczą dziennikarzy i pisarzy podawać tylko zdrowe rady w gazetach i pisać tak, żeby i rozum i serce nakarcić można tą strawą, bo spracowany czy to wieśniak, czy robotnik na jałowe artykuły mimo głodu nie spojrzy, a tem mniej je przeczyta i strawi.

Lud rozgrzany oświatą dowiódł, że jest nienajgorszym materiałem na patriotów, jak tego już liczne mieliśmy przykłady. Dzięki oświacie, świadomość narodowa i patriotyzm obejmuje coraz szersze warstwy i jeżeli z jednego bieguna społecznego odpadają nieliczne jednostki, to z drugiej strony za to z niesłychaną szybkością pomnaża się liczba świadomych obywateli, zajmujących najważniejsze placówki czynnej obrony narodowej. Rusza się lud w całym kraju, a oświata rozgazuje w zbolele w niewoli serca. Lud, co w ten sposób — nie przez szkołę — kształci się w wierze, w sprawie i dziejach ojczyzny, będzie ludem postępowym i w łonie jego złożona będzie wielka treść moralna, nie zamiana żadną siłą potęga narodu. Będzie to lud z wiedzą i z uczuciem, z siłą, z znaczeniem i siłą swojej; lud z siłą znajomością Boga, ludzi i przeszłości swojej.

Oświata dziś nam koniecznie potrzeba nie tylko, ażeby utrzymać narodowość, ale i wiarę, i dla tego zadaniem naszym być powinno rozszerzać ją wszędzie i cały

gmach nasz społeczny oświecić nią jak pochodnią od fundamentów aż po strych.

Nikt nie zaprzeczy, że najłatwiej nabywa się oświatę przez naukę w szkole, a gdzie na to nie ma sposobu jak u nas, tam przez czytanie i pouczanie się w domu. Jednym z bardzo znamienitych rysów braku oświaty jest umysłowe lenistwo i brak zdolności do samodzielnego rozumowania. Źródła tego zjawiska szukać należy przedewszystkiem w systemie szkoły niemieckiej, która nadmierną pracą zabija siły ucznia polskiego, odbiera mu ochotę do nauki, która i tak z trudem tylko mu przychodzi, bo wykładaną bywa w języku niemieckim, którym tenże niedostatecznie włada. Uczeń polski z samej natury rzeczy więcej musi pracować niż niemiecki, a umysłowo znużony boi się większej pracy dobrowolnej, boi się obok nauki przepisanej szkołą, zabrać się do nauki rzeczy polskich i na widok książki ręce mu opadają. Szkoła niemiecka nie uczy nas rzeczy polskich, czyli dla nas najpotrzebniejszych, a rząd do utworzenia szkół polskich pomódz nam nie chce, gdyż celem rządu jest właśnie niemieczenie Polaków, co najłatwiej dzieje się przez szkołę. Lecz takich szkół nam nie potrzeba, my chcemy i musimy zostać wraz z dziećmi naszymi wiernymi naszej Matce Polsce, byśmy czyści, rachunek z naszej działalności zdać mogli — by ta nieszczęśliwa nasza Ojczyzna nie zawołała na nas kiedyś, jak na dzieci wyrodne:

— „Nieszczęsny, cóżes zrobił z Ojców swoich mową!“

Dopóki sami nie możemy z własnych środków utrzymać nauczyciela, któryby na obczyźnie dzieci nasze uczył czytać i pisać po polsku, nie pozostaje nam nic innego, jak uczyć je w domu z elementarza. Trzeba tylko codziennie i wytrwale naukę taką prowadzić i *mówić w domu i pomiędzy swoimi tylko po polsku*. Aby nauczyć dzieci swoje przynajmniej czytać po polsku, na to nie potrzeba być nauczycielem. Kto sam umie czytać, temu do nauczania innych czytania wystarczy dobra wola i szczerza ochota. Nauka czytania polskiego to podstawa naszej oświaty, bez umiejętności czytania polskiego zład dziecko polskie ma czerpać dalszą oświatę, jeżeli każda książka polska, każde pismo polskie, każdy list polski będzie dla niego tajemnicą z siedmiu pieczęciami?

Gdzie rodzice w żaden sposób nie mogą dzieci nauczyć czytać i pisać po polsku, już to, że nie mają czasu do tego, już też, że nie potrafią innych pouczać, tam niech poproszą inną osobę zdolniejszą do tego, a nie ma chyba takiego miasteczka, takiej wsi, na obczyźnie nawet, gdzieby się człowiek szlachetny nie znalazł, który by się tego prawdziwie obywatelskiego zadania nie podjął. Aby ułatwić sobie pracę można kilkoro dzieci gromadzić i uczyć naraz. Umiejętność czytania to pierwszy krok na drodze oświaty. Pod Moskałem gorzej się jeszcze dzieje niż u nas, a przecież tam co rok nie setki, nie tysiące, ale setki tysięcy działwy polskiej uczy i naucza się czytać w języku ojczystym. Jak się te dzieci uczą jest to tajemnicą chat chłopskich, tajemnicą gospodarzy, wyrostków, bab i dziadów wędrujących, którzy tysiącami krzątają się co zimę po wioskach i mimo zakazu rządu na elementarzach, na książkach do na-

bożeństwa, na lada skrawku zadrukowanej bibuly uczą działwę poznawać i składać litery, sylabizować i czytać, prowadząc tem szczytną i doniosłą pracę nad oświatą ludu. Taki tajny nauczyciel, który z chaty do chaty chyłkiem się przemieszcza, kryć się musi ze swą pracą jak ze zbrodnią, bo Moskał uczyć nikomu nie pozwala i za udzielanie światła karze surowo, jak za występki polityczne. Nieraz chłopiec taki, że zda się trzech zliczyć nie umie, wyciąga z za obrazu lub z za pazuchy książkę polską i siadłszy na przyzbie lub na wygonie czyta, aż mu się uszy trzęsą. Zaskoczony zmienacka i zapytany, zkad ma takie książki, nawet zaufanemu nie powie więcej nad to, że dostał „od jednego takiego z drugiej wsi“. Potrzeba uczy już tych maluczkich sprytu, to też naród tam chwacki, urodzony jakby na męczenników za sprawę polską.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przy fujarce.

Hej fujarko ukochana...
Graj mi tęsknie, graj!
Jam sierota — w wiosce bieda,
A w niedoli kraj,
Czegóż mamy się weselić,
Gdy wciąż płyną łzy,
Moskał gnębi — szczęście zabrał,
Biedni — biedni my.

I fujarka ma wierzbową
Smutno — cicho gra...
Słonko wschodzi nad dąbrowy
Wioskę kryje mgła.
Piosnka płynie po dolinie
Echem dzwoni gaj,
Ah! zaśpiewać raz weselej
Daj nam Boże daj!..

Polski bóle — łzy — niedola
I niewoli wiek,
Tak się wpiły w serca nasze,
Ze wciąż smutny człek,
I choć pięknie tu w około
W naszej lubej wsi —
Piosnka dzwoni nie wesoło
Smutno — smutno mi.

Spadła ciemna z ócz zasłona,
Przejrzał polski lud,
By nas zniemczyć lub zmoskalić
Próżny wrogów trud.
Myśmy Polskę pokochali
Sercem — duszą już,
Więc jej służyć życie całe
Któż nam wzbroni, któż?

Służyć Polsce — ale w zgodzie
Razem w dłoni dłoni,
Zniszczyć kłótnie, gniewy, zwady
To najlepsza broń.
A tu u nas, Miły Boże
Gdzież jest zgoda, gdzie?
Ej fujarko, co raz smutniej
Twoja piosnka mknie.

Nie pomogą gniewy, żale,
Skarg tysiącznych głos,
Trza *pracować*, aby zdobyć
Polsce lepszy los.
Trzeba kochać. Siewców zgnubnych
Pędzić z naszych pól —
Trzeba z wiedzą rosnać w cnoty
Wtedy zniknie ból.

Hej fujarko ma wierzbową,
Smutno — cicho graj...
Jam sierota — w wiosce bieda,
A w niewoli kraj.

Kiedy wróci wolność dawna?
Kiedy oschną lzy?..
Graj fujarko ciszej, ciszej...
Nikną w wiosce mgły.

Wiosna a zdrowie.

Przyroda obudziła się wreszcie ze snu zimowego promieniami słońca — oto doczekaliśmy się wiosny, tej najmilszej nam pory roku. Wiosnę witamy z radością, ponieważ wszystko w przyrodzie odżyło nowem życiem; każdy dzień staje się dłuższym, tak, iż coraz to dłużej podziwiać możemy przebudzenie się i kielkowanie przyrody — z każdym dniem objawia się coraz to więcej życia, a nawet w umyśle osoby ciężko schorzałej budzą się nadzieje wyzdrowienia.

Ale właśnie pierwsze ciepłe dni i tygodnie wiosenne łączą z sobą zwykle cały szereg chorób. Jako główne wyliczyć szczególnie wypada: zapalenie gardła i płuc, nieżyty (katary), influenza, dyfterya, szkarlatyna, biegunka. Prawdą jest także i udowodnionem to zostało, że podczas przejścia z zimy do wiosny o wiele więcej ludzi umiera niż zimą — a częste pojawianie się niedomagań powodowało ludzi do twierdzenia, że z wiosną przychodzi wiele chorób. Ale czy przyczyna tego objawu polega jedynie tylko na porze roku, to zapewne byłoby trudno dowieść. Atoli po większej części można udowodnić, iż przyczynę stwarza człowiek sam, albo raczej nieodpowiedni jego sposób życia, jego nieostrożność i niewiadomość. Człowiek przyzwyczajony dotąd tylko do powietrza pokojowego, do sypialni o szczelnie zamkniętych oknach, a zawsze „porządnie“ ogrzanej, przywykły do futer i wełnianych koszul — jednym słowem: człowiek zimą rozpieszczony myśli, że może teraz bez miary używać „cudnego“ powietrza wiosennego; przytem, hołdując modzie; ubiera się wedle sezonu i zupełnie naturalnie — zaziębia się. Wtenczas spycha winę zwykle na zmienne dni marcowe i kwietniowe, na „dżysty“ maj. Otóż gdyby się nie był w zimie tak bardzo przed świeżem powietrzem „ochraniał“, zapewniaby znieść mógł zmieniającą się często ciepłotę powietrza; gdyby ciała swego w zimie nie był za bardzo rozpieszczył zbytniem ubraniem, zapewneby mu powietrze wiosenne tak prędko nie zaszkodziło.

A zatem, kto chce pozostać wolnym od t. z. zaziębień i wyżej wymienionych chorób, ten powinien, przynajmniej jeszcze teraz na wiosnę, rozumnie i starannie ciało swe hartować, aby było wytrzymałe na zmianę zimowego i wiosennego powietrza. Kto się już zimą należyście zahartował, nie będzie miał wiele na wiosnę do czynienia; ten może też sobie pozwolić nawet na lekkie „sezonowe“ ubranie, gdyż zaziębień wogóle nigdy się nie obawia. Kto zaś przez zimę ciało swe doglądał, jakoby kwiatka w cieplarni, ten powinien bardzo się mieć na baczności, aby lada mroźny wietrzyk nie zwarzył go, nie zatrzał jego soków i go nie zabił. Jedynie tylko należytem stopniowem hartowaniem jeszcze ustrzedz się można przed niebezpieczeństwem. Ale na czem polega zahartowanie na wiosnę? Na to pytanie

daje X. Kneipp następującą odpowiedź: Zmywaj mniej więcej 2 lub 3 razy tygodniowo całe ciało, rano lub na wieczór, bierz raz lub dwa razy tygodniowo półkąpiele przez 2—3 sekund, a zahartujesz się z pewnością. Jeśliś chodził zimą boso, przynajmniej w pokoju, lub kilka razy w ogrodzie po świeżo spadłym śniegu, uczyni toż samo i w czasie wiosny, a wtedy dosyć uczynisz. Ptakom zimowe pióra, a zwierzętom zimowa sierć, nie od razu wypada; to też i ty czytelniku musisz przejść powoli z zimowych do wiosennych sukien, a jeśliś przytem dosyć ostrożny, nie ucierpisz wskutek tego. Zmianę tę wytrzymują przeciw zwierzęta, stworzone przez Boga. Wiosenne powietrze i ciepło, jako też zmiana zimy na wiosnę, powoduje ptaki do śpiewu; człowiek zaś powinien na wiosnę rozpocząć nowe życie.

(Przewodnik Zdrowia.)

FATA MORGANA.

Ponad urwiskiem wzrosła stokrotka,
Cierpienia zrodziły lzy,
W morza głębinach powstała perła,
A w mych marzeniach — Ty!

Perła zginęła w carskiej koronie,
W eterze zginęła lza,
Biała stokrotka w wieńcu na trumnie,
A w twej pamięci — ja.

Witold Leitgeber.

Co najdroższe?

Idziemy naprzód. Pragniemy, aby jak najprędzej wznieść się wyżej w oświacie, postępie, przemyśle, dobrobycie. Chwytni nowo hasła, poznajemy nowe sposoby, patrzymy kędy lepiej i łatwiej dążyć do przyszłości... a wśród tego nawału nowości — poczynamy niejedno z dawnych zwyczajów tracić — zapominać — lekceważyć.

Otóż patrząc na to jak wiele dziś staropolskich tradycji i zwyczajów gaśnie, poczynają się niektórzy trwożyć i pytają: co też z tej przeszłości potrzeba uchować na przyszłość jako skarb najdroższy?

Co najdroższe z tradycji prababek naszych? Z obyczajów pradziadków — z zwyknień rodzin naszych przastarych?

Co najdroższe?

Oto posłuchajcie, jak na to pytanie, odrzekł Kraszewski:

— Pewne rodzeństwo odziedziczyło po zmarłym staruszku, dziadku, mnóstwo najrozmaitszych przedmiotów, mebli itp., co miało bardzo rozmaitą wartość. Zaczęli uporządkowywać te pozostałości i dzielić się nimi.

A że bardzo wiele z tych rzeczy było nadzwyczaj starych, nieodpowiednich dla dzisiejszej doby — nie mających prawie żadnej wartości, wtedy jeden ze spadkobierców rzekł:

— Oddzielmy najpierw te rzeczy, które są więcej warte od rzeczy nie wartych i odrzucimy niepotrzebne, a lepszymi podzielimy się.

Tak zrobiono. Wyrzucono bardzo wiele starych mebelków, ubrania zużyte, rupiecie rozmaite.

Gdy potem przyszło do podziału i szukania uchowanego majątku, ze zdumieniem przekonali się spadkobiercy, iż prawie nic nie dostali.

Jeden z nich poszedł się poskarżyć pfołoszczowi, a ten rzekł z uśmiechem:

— Sami jesteście winni, iż nie zażleżliście majątku. Czyż wiecie, gdzie stary schował skarby swoje? Może właśnie były ukryte w tych rupociach i gratach lichych, któremi wzgardziliście i wyrzuciliście je jako niepotrzebne?

Tak było w istocie. Ci, co wzięli stare rzeczy i lachmany, wzbogacili się, a ci, co wzięli lepsze rzeczy, nie odziedziczyli majątku.

Znaczenie tej przypowieści łatwe do wyjaśnienia. Nie wiemy, co w tradycjach i obyczajach narodu naszego jest najdroższe i co zawiera w sobie tajemnicze słowo przyszłości. Lepiej więc zachować wszystko jak relikwie, niż wyrzucić najcenniejszą perłę na śmieciisko z gratem niepotrzebnym. Byłoby największą lekkomyślnością pozbywać się tego, co nigdy odzyskane być nie może. Anglicy szanują święcie narodowe tradycje, a przeciw nie przeszkadzają one im iść naprzód z postępem.

Niechże i nam w dzisiejszej dobie — gdy wiele nowości czas z sobą przynosi — nie za wadzą stare obyczaje narodowe — rodzinne. Są to skarby odziedziczone po praojcach, szanujmy je i przechowajmy naszym dzieciom w spadku.

Zbogacił się.

Głupi Wojtek jakich mało,
Ameryki mu się chciało,
Aby wieść życie bogate,
Sprzedał grunt i sprzedał chatę

Grunt zakupił żyd pejsaty,
Karcznię zrobił z Wojtka chaty
Po trzech latach, jak trząsał biczem
Moszko stał się już dziedzicem.

Wojtek się świetnie zbogacił,
Wydał grosze, zdrowie stracił,
O służbę się Moška prosi
Niegdyś kmięć, dziś wodę nosi.

Zaraźliwe choroby.

„Ludzkość choruje! — wołają lekarze —
„I źródło złego upatrują w ciebie;
„Więć ten namaszczać, ów krew puszczać kłóć;
„Tamten cudowne wymyśla kąpiele;
„Radzą i piszą — i piszą i radzą —
„Ale te leki na nic się nie zdadzą!

„O! ludzkość cierpi! choruje okropnie!
„Ale zaprawdę, nie ciałem, lecz w duchu;
„Cielesna rada niczego nie dopnie!
„Duch z paraliżu wezwijcie do ruchu!
„Ducha ratujcie! bo w strasznych suchotach
„I tak go mało w dzisiejszych żywotach!
K. Baliński

Są choroby straszniejsze nad tyfus, ospę — suchoty i tym podobne. Są choroby zaraźliwe, trujące i psujące nie ciało lecz ducha... ale na nie mało zwracamy uwagi i nie szukamy środków zaradczych.

Gdy jest we wsi lub w mieście choroba zaraźliwa, wtedy władze zarządzają środki ochronne, strzegą aby do tego domu nikt nie wchodził, aby zamtąd nie brano jakich rzeczy... aby wykarbolować i oczyścić z zarazków każdy sprzęt, a chorego jak najprędzej uleczyć.

Ale gdy jest kto we wsi — czy w mieście chory nie ciałem lecz duchem, gdy bluźni, zlorzeczy... sieje nienawiść... jad... rozgoryczenie, gdy swojemi mowami i przykładem swego życia zaraża ogromne szeregi rodaków, to nad tem nikt nie czuwa, by zdrowe serca od zepsucia uchronić, by szlachetne dusze od jadu uratować.

A przecież należałoby nad chorobami serc i dusz ludzkich mieć tak samo opiekę lekarską rozciągniętą, jak się ją ma nad chorobami ciała.

Mają swoje choroby ducha tak samo panowie jak i chłopci, uczeni jak i prostaczkowie, biedni jak i bogaci.

Jedni chorują na pychę, leniwość, samolubstwo i marnotrawstwo — drudzy na gniew, pijaństwo, złodziejstwo. — Jedni zarażają towarzyszy i sąsiadów, krewnych i przyjaciół nienawiścią, obmawianiem, zazdrością, gniewem, nieuczciwością; drudzy... zabijają ducha i serce głosem zasad zupełnie błędnych, fałszywych i bezbożnych.

Gdzież lekarstwo na to? Gdzie rada i pomoc wiodące ku uzdrowieniu?...

Światło wiedzy opartej na zasadach Ewangelii... oto środek leczniczy.

Prawdziwie rozsądny człek — zwalczając ułomności ludzkie — depcze nałogi i podmowy — odrzuca fałsz, obłudę i piewiny — a wtedy nie zna on choroby — jest zdrow i nikogo na złe drogi nie zwiedzie.

Gdy jest w izbie ciemno — wtedy tu lub tam wysuwać się poczynają jakieś szpetne owady — myszy wylażą z kryjówek... stonogi się kręcą... ale jeśli zaświecimy świecę, wszystko to kryje się bez śladu.

Tak i w duszy, gdy ciemno, wtedy wylażą rozmaite wady, błędy, nałogi, ale gdy oświata rozświeci serce i myśl — cnota musi się zjawić.

Jesteśmy chorzy — istotnie... bardzo chorzy. — Chorują panowie, chłopci, rzemieślnicy, młodzież, starzy — słowem wszyscy — a szukamy środków zaradczych w rozmaitych kołach i stronach u rozmaitych lekarzy — tylko nie udajemy się tam, gdzie prawdziwy jest ratunek.

»Otoż tę iskrę z sere, jakby z krzemienia.

»Trzeba wykrzesać, wydmuchać w popiele,

»I wydobyć roztlęć do płomienia

»I płomień rozlać po ludzkości ciebie.

„*Płomień miłości! tylko on wyleczy*

„*Chorobę twoją o! rodzie człowieczy!*”

Uczą nas — chorzy na duchu... że trzeba cały świat przemienić — wszystko zburzyć i na nowo budować, aby było dobrze. Biedni!.. nie wiedzą, że nie świat chory — tylko oni są zblakani — fałszywymi zasadami zarażeni — jadem nienawiści i goryczy zatruci. Choroby to straszne, a jak zaraźliwe, widzimy gdy coraz większe szeregi braci obejmują... więc nie bądźmy obojętni na to, nie mówmy, że się to przeszło i p.zewali... ale usiłujmy szerzyć *prawdziwą oświatę* i mieć leczyć gangrenę moralną. Pomnijmy też, co rzekł Mickiewicz:

Smutni! chorzy! wy zamiast cieszyć się i leczyć,
Wolicie wzajem siebie smuć i kaleczyć.

Pożegnanie.

Jadą nasi!... na bój z Moskwą
Wzywa — woła kraj...

O! zwyciężyć — wrócić prędko
Daj im Boże — daj!...

Grają trąby — brzmi piosenka
Nasi jadą w dal...

A mnie płyną łzy po licu
W sercu smutek — żal.

Pożegnałam, krzyżyk dałam...
I pojechał już,

Kiedy wróci na próg chaty
Któż mi powie — któż?...

Pożegnałam... powiedziałam...
Nie patrz na me łzy...

Wszakże nasz kraj, w sercu twoim
Jest pierwszy jak my.

Tys wojakiem — jedź na wroga,
Dzielnie w wojsku służ...

I w ofierze dla Ojczyzny
Życie swoje złoż.

Pożegnałam!.. dziecię płacze,
Trąbka w dali gra...

Kruki kraczą — szable brzęczą
W oczach gorzka łza.

O! niejedna żona płacze...
Gdy szle męża w bój...

I niejednen kruk tu kracze
Cyt! cyt! synu mój!...

Nie ma szczęścia, nie ma ciszy,
Moskał gnebi kraj,

O! zwyciężyć — wrócić spokój
Daj nam — Boże daj!...

Pojechali — coraz ciszej
Słychać trąbki głos —

A kruk kracze — wicher szumi —
Smutny kraju los.

Wiadomości.

Poznań, 7 maja.

Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup obchodził dnia 4 bm. swe imieniny. Ku uczczeniu uroczystości jubileuszowej 900-nej rocznicy śmierci męczennickiej św. Wojciecha oraz na cześć imienia Najprzewielebniejszego ks. Arcypasterza odbyła się w dniu 3 bm. świetna iluminacja w Gnieźnie.

Życzmy Najprzewielebniejszemu ks. Arcypasterzowi, aby przewodniczył kapłanom i wiernym jeszcze jak najdłuższe lata, im na pożytek, a Sobie na chwałę.

Komitet wyborczy dla miasta Poznania na posiedzeniu swem ostatniem. kooptował do grona swego p. dr. Antoniego Chłapowskiego w miejsce śp. Macieja Dykiera, a głównym skarbnikiem mianował p. Gabriela Rittera.

Ze względu na niedobór w kasie i z powodu potrójnych wyborów, które w niezadługim czasie się odbędą, postanowił komitet wysłać na początku maja kursorów, opatrzonych w upoważnienie do ściągania składek na cele wyborcze. Na każdą sumę winien kursor doręczyć placącemu kwit sznurowy.

Nie wątpimy, że obywatelstwo chętnem składkowaniem ułatwi trudną pracę komitetowi wyborczemu.

Pielgrzymkę parafii poznanijskich przyjmował w Gnieźnie ks. Biskup Andrzejewicz na cmentarzu katedralnym, sumę pontyfikalną odprawił ks. Arcybiskup. Wieczorem zebrał się pielgrzymi przed pałacem arcybiskupim. Do ks. Arcypasterza, który wyszedł na balkon, przemówił ks. prob. Stychel, na co ks. Arcybiskup odpowiedział, błogosławiąc pielgrzymów.

Policjanci obesli w zeszłym tygodniu w Poznaniu składy kwiatów i odnośnym wła-

ścicielom zakazali sprzedawać wieńce z czerwono-białemi wstęgami. Na zrobioną uwagę przez personal pewnego składu kwiatów, że przecież sprzedawać trzeba to, co kto żąda, odpowiedziano, że zamawiającym wieńce z czerwono-białemi wstęgami, zwrócić trzeba uwagę, iż następstwo oni sami na siebie biorą.

„**Lech**“ gnieźnieński z dnia 29 zm. wyszedł w ozdobnem wydaniu i zawiera na pierwszej stronie łacińską odę na cześć św. Wojciecha, napisaną przez J. Wabnera i drugą polską odę przez tegoż autora ułożoną; prócz tego podaje kilka artykułów i wierszy, odnoszących się do jubileuszu, oraz kilka udatnych rycin.

Sąd w Pile uznał tamtejsze Towarzystwo Przemysłowe za polityczne, i to dla tego, że przedstawiło w żywym obrazie podczas teatru amatorskiego konstytucyą 3 maja.

Cwiczenia jesienne 5 korpusu armii odbędą się w tym roku w Księstwie w następujących powiatach: obornickim, wrzesińskim, średzkim, jarocińskim, keźmińskim i pleszewskim.

Rząd przedłożył sejmowi projekt budowy kolei z Grodziska do Koźmina lub Czepienia, albo innej stacyi na torze z Poznania do Leszna. Budowa ma kosztować 2,140,000 mk.

Wybór posła do pruskiej Izby panów z powiatów: świeckiego, chojnickiego, tucholskiego, człuchowskiego, złotowskiego i waleckiego w miejsce zmarłego Gordona z Laskowic odbędzie się 10 czerwca. Prawo wybierania mają właściciele ziemscy, którzy posiadają majątki, będące własnością rodziny przynajmniej 50 lat.

Pomnik dla Sobieskiego we Lwowie na wałach hetmańskich stanie jeszcze w jesieni. P. Tadeusz Barącz, twórca pomnika — przepędził już kilka tygodni w Wiedniu, pracując około wykończenia postaci Sobieskiego, która się tam odlewa. Figura Sobieskiego będzie gotową za 4 miesiące. We Lwowie przystąpiono do obróbienia już umieszczonego na Wałach Hetmańskich piedestału. Dla ochrony robót wzniesiono nad piedestałem pokrycie drewniane.

Wiadomości handlowe, przemysłowe i rolnicze.

Ruch budowlany w Poznaniu. Z nastaniem cieplejszej pory roku rozpoczął się w mieście naszym bardzo ożywiony ruch budowlany: W budowlach w roku zeszłym wystawionych a wewnątrz nie wykończonych: Przy ulicy Szerokiej nr. 15 (Lauber i Flegel), przy ulicy Szewskiej nr. 10 (gmina synagogi), przy ulicy Szewskiej nr. 14 (Bartz), przy ulicy Teatralnej nr. 3 (Schöpe), przy ulicy Fryderykowskiej nr. 17 (gmach prow. Towarzystwa ogniowego), przy ulicy Piekary nr. 10 (Lange), przy tejże ulicy nr. 18 (Jaretzki), przy ulicy Ludwiki nr. 10 (gmach dyrekcji kolei), przy ulicy Łąkowej nr. 4 (Wengel i Wiedemann), przy tejże ulicy nr. 16 (Rausch) i przy ulicy Grobla nr. 28 (Jortzig) prace postępują razno naprzód. Nowe budowle stawiać rozpoczęto: na placu Bohna przed bramą Berlińską większą budynek restauracyjny i salę koncertową (Towarzystwo akcyjne browaru Bawaria), przed bramą Królewską kamienicę (Stowarzyszenie budowlane urzędników kolejowych) i przy ulicy Kopernika nr. 5 kamienicę (Murkowski). Dalej stanie nowa kamienica przy narożniku ulicy Długiej i Strzeleckiej (Krakauer) oraz wybudowanym będzie dom drugi mieszkalny w ogrodzie przy ulicy Wiedeńskiej nr. 4 (Krug). Stare budowle ustąpią miejsca nowym kamienicom: przy ulicy Wrocławskiej nr. 5/6 Kohlschütter, przy ulicy Wrocławskiej nr. 13/14 (Pluciński) przy ulicy Wielkich Garbarach nr. 5. (Gniatczyński), przy Nowym Rynku nr. 13/15

(gmina kościoła farnego), przy ul. Wilhelmowskiej nr. 26 (Bank związku Spółek zarobkowych), przy Tynnym Chwaliszewie nr. 4 (Neufeld), na Ostrówku nr. 6 (Szperlinska) i przy ulicy Warszawskiej nr. 2 (Hoffmann). Wreszcie władza wojskowa ma zamiar wybudować kasyno oficerskie przy ulicy prowadzącej od św. Wojciecha do fortu Hake. Także rozpoczęto różne liczne przebudowania, dobudowania i zmiany w kamienicach oraz pomniejsze budowle.

Salę Lamberta, największą dotąd w Poznaniu, oraz całą posiadłość z ogrodem zadzierżawiło »Towarzystwo nowego browaru poznańskiego« na pewien szereg lat, gwarantując sobie prawo do zakupu tejże posiadłości za 630 tys. mk. Towarzystwo to postanowiło do owej sali przybudować gmach dla teatru latowego. Sala i lokale restauracyjne będą odnowione i przebudowane. Budynki starego browaru będą rozebrane i ogród rozszerzony.

Firma A. Cichowicz w Poznaniu otrzymała pierwszą honorową nagrodę państwową (to jest nagrodę najwyższą), na międzynarodowej wystawie kulinarnej i artykułów spożywczych, urządzonej w Baden pod Wiedniem. Nagrodę tę otrzymała znana nasza poznańska firma za wina węgierskie. Przypominamy, że p. A. Cichowicz otrzymał takie same pierwsze nagrody na wystawach w Berlinie, Dyseldorfie, Poznaniu. Oby nasz przemysł poszczycić się mógł jak największą liczbą takich przedstawicieli.

Pan dr. Rzewuski z Arcugowa kooptowany został na członka Izby rolniczej dla W. Ks. Poznańskiego.

Mogilno. Majątek Pałędzie dolne (przewzisko Steinfelda noszący), około 325 hektarów, sprzedany będzie dnia 31 maja o godz. 9 tej przez subhastę. Majątek ten ma 140 morg łąk i 130 morg jeziora.

Szkołę wieczorną dla kupeczyków urządzono w Wąbrzeźnie w Prusach Zachodnich. Chodzi do niej 40 uczniów. Gdyby nie to, że w takich szkołach wykładają wszystko po niemiecku, a nie po polsku, chodziłyby z wielką ochotą setki uczniów Polaków.

Bank Ludowy założony został w Opolu na Górnym Ślązku. Pierwszy bank tego rodzaju założony w Bytomiu, rozwija się pomyślnie.

Od 22 do 25 maja odbędzie się w Królewcu wielki targ i wystawa koni.

W Treptow pod Berlinem, na jednej części placu zeszłorocznej wystawy przemysłowej, otwarto d. 28 kwietnia wystawę ogrodniczą. Aktowi otwarcia, dokonaneemu przez ministra rolnictwa, obecna była cesarzowa Augusta.

Na wystawie tej przyznano pannie Annie Karłowskiej z Poznańskiego, uczennicy szkoły ogrodniczej dla kobiet w Friedenau, pierwszą nagrodę, wielki medal srebrny, za plan ogrodu warzywnego.

Targ na wełnę w Berlinie odbędzie się w dniach 15, 16 i 17 czerwca.

Zjazd związków cechowych w Berlinie przyjął jednogłośnie rezolucją, w której oświadcza, że przepisy dotyczące ograniczenia godzin roboczych w zawodzie piekarskim wielce szkodzą rzemiosłu, bo podkopują zupełnie małe przedsiębiorstwa, wywołują niesnaski pomiędzy mistrzami a czeładnikami i uczniami, i wielu piekarzy popychają w ramiona socjalistów. Zjazd prosi zatem radę związkową o zniesienie tych przepisów.

Wystawa w Lipsku. Dnia 24 kwietnia nastąpiło w Lipsku uroczyste otwarcie sasko-turyngskiej rzemieślniczo-przemysłowej wystawy. Otwarcie odbyło się w obecności króla Alberta i książąt krwi.

Wystawa przedstawia wiele ciekawych dzieł.

Równocześnie z wystawą nastąpiło otwarcie jarmarku oficjalnego.

Międzynarodowy kongres pocztowy. Z Berlina donoszą: W międzynarodowym kongresie pocztowym, który odbędzie się wkrótce, rządy niemiecki i austro-węgierski wystąpią z propozycją podniesienia wagi zwyczajnych listów z 15 na 20 gramów. Oprócz tego przedstawione będą kongresowi wnioski, w sprawie dopuszczenia przekazów pocztowych zagranicznych do wysokości 1000 franków i ustanowienia opłaty w wysokości 25 centimów od każdego 50 franków, a dalej podniesienia wagi pakietów pocztowych na 5 kilogramów, a wagi próbek bez oznaczonej wartości, na 350 gramów.

Niemiecki związek wierzycieli. Świeżo odbyło się w Berlinie ogólne zebranie członków niemieckiego związku wierzycieli, na którym dyrektor złożył sprawozdanie z czynności związku w ciągu roku 1896. Związek otrzymał do opracowania 1,646 upadłości i 451 układow polubownych, razem 2,097 spraw. Z tego załatwił ostatecznie 1,403, a mianowicie przymusowym układem 594, zapłatą 776, dla zupełnego braku masy 25, za zgodą wierzycieli 8. Przebiegająca cyfra układow wynosiła 30 1/4%. Najwięcej wypadków niewypłacalności było na Ślązku—204, w Prusach wschodnich i zachodnich 189, w prowincji nadreńskiej 184, w Brandeburgii 152, w prowincji Saskiej 151, w Berlinie 144, w Saksonii 142, w Hamburgu 116. W ogóle upadłości w r. 1896 r. mniej przyczyniły szkód, niż w poprzedzających latach, ponieważ sumy upadłościowe były mniejsze. — Na zebraniu rozprawiano nad przystąpieniem do agitacji, celem uzyskania opieki prawa dla układow polubownych.

Regulacja ultymowa w Berlinie za kwiecień odbywała się w dalszym ciągu nader gładko wobec wielkiej płynności gotówki, która obficie była zaofiarowywana i brana po 3 1/4%.

Towarzystwo akcyjno-komandytowe Herrmana Gerson w Berlinie ma się zamienić w przedsiębiorstwo prywatne, którego właścicielami zostaną obecni odpowiedzialni komandytarysze, pp. Freudenberg i Fr. H. Meyer.

Kantor komisowy. Wobec zwiększających się stale stosunków handlowych między Rosją i Abisynią, kilku kapitalistów rosyjskich zamierza założyć w Moskwie lub Petersburgu kantor komisowy, któryby pośredniczył między Rosją a Abisynią.

Ruch w Towarzystwach.

Koło Śpiewackie Polskie w Poznaniu obchodziło dnia 3 bm. 12-letnią rocznicę swego zawiązku w lokalu p. Miśkiewicza skromną wieczerzą, którą prezes i założyciel Koła p. dyrektor Bolestaw Dembiński rozpoczął słownym przemówieniem. Przy śpiewach ogólnych, solowych popisach muzycznych, deklamacjach i monologach zakończyła się wieczerza około godziny 1, z której tak członkowie jak i goście z radością do domu wracali.

Walne Zebranie Kółek rolniczych powiatu Szamotulskiego odbędzie się w Szamotulach, dnia 16-go maja o godzinie pół do 4-ej po południu, na które zaprasza się wszystkich członków. Na zebranie zjedzie Patron.

Doniesienia literackie.

Pasieki, pisma wydawanego dla pszczołarzy przez W. Adamczewskiego, wyszedł nr. 5. Materiał jest jak zawsze bardzo obfity.

Dziennikarstwo słowiańskie i polskie. Napisał St. J. Czarnowski, magister prawa. Kraków 1895. — Autor w dziele swem zestawil dziennikarstwo ruskie, polskie, czeskie, serbskie i bułgarskie w zarysach ogólnych.

Kronika żałobna.

† **W Kruszynach** pod Brodnicą zmarł ś. p. Antoni Kraszewski, najstarszy syn właścicielki majątku, którego zarząd sam prowadził. Był to zdolny młodzieniec, praktycznie i teoretycznie wykształcony rolnik, sprawował też urząd sekretarza Tow. rolniczego w Brodnicy. Niechaj mu ziemia lekka będzie!

Sp. Seweryn Smolikowski, oficer b. wojsk polskich i pułkownik b. korpusu inżynierów, zmarł w Warszawie w 87 roku życia.

W Opolu, na Górnym Ślązku, zmarł dnia 3 bm. ks. Karol Mysliwiec, licząc zaledwie lat 30. Zmarły był dobrym Polakiem, zajmował się literaturą polską, słowiańską i od czasu do czasu pisywał artykuły do »Gaz. Opolskiej«. Wieczny spokój Jego duszy!

Chleb dla swoich.

Fotograf, rodak, wykształcony za granicą, zapytuje za pośrednictwem »Dziennika Pozn.« — gdzieby z wid.kiem powodzenia mógł się osiedlić w Księstwie lub na Ślązku.

W pewnym mieście Prus Zachodnich, w okolicy przeważnie polskiej, gdzie dotąd niema żadnego **polskiego składu lokeciowego**, można takowy pod świetnymi warunkami, tanio, wraz z domem zaraz nabyć. Skład ten położony jest w rynku, w bardzo ożywionem miejscu; obecny właściciel chce go sprzedać tylko z powodu podeszłego wieku. Rodak zrobiłby świetny interes. Bliższych szczegółów udzieli osoba, którą wskaże Redakcja »Gońca Wielkopolskiego.«

Informacje, dotyczące handlu, przemysłu i rolnictwa.

Firmy.

Do rejestru spółek sądu okręgowego w Poznaniu zapisano przy firmie »Spółka rolników parcelacyjna« co następuje: W miejsce zmarłego p. Macieja Dykiera wybrano do zarządu p. Władysława Kaczmarka z Poznania. — Do rejestru spółek sądu okręgowego w Ostrzeszowie zapisano przy firmie »Kasa oszczędności i pożyczki w Komarowie« co następuje: W miejsce nauczyciela, p. Antoniego Grabowskiego w Komarowie, wybrano do zarządu nauczyciela, p. Pawła Swierkowskiego w Komarowie. — Do rejestru firm sądu okręgowego w Krotoszynie zapisano firmę: »Pierwsza krotoszyńska fabryka papy na dachy i cementu drzewnego. J. Sierodzki; właścicielem firmy jest właściciel fabryki, p. Jan Sierodzki, w Krotoszynie.

Konkursy.

W sprawie konkursowej nad majątkiem dzierżawcy hotelu, p. Władysława Kamińskiego w Poznaniu, wyznaczono termin ostateczny na dzień 12-go maja w sądzie okręgowym w Poznaniu. — Konkurs ogłoszono nad majątkiem kupca, p. Dawida Friedlaendera w Poznaniu, nad majątkiem kupca, p. Maurycego Barucha w Poznaniu, nad majątkiem mistrza kuśnierzyńskiego, p. Romana Niedźwiedzińskiego w Gostyniu, nad majątkiem kupca, p. Kazimierza Kosińskiego w Wronkach i nad majątkiem mistrza szewskiego, p. Gustawa Czeszłaka w Czarnkowie. Zniesiono konkurs nad majątkiem handlarza, p. Szymona Placzka, w Środzie i nad majątkiem kupca, p. Michała Samolewskiego w firmie »Jan Samolewski« w Gostyniu.

Humorystyka.

CHCIAŁBYM...

Westchnienie narzeczonego.

Chciałbym orłem być w przestworzu,
Płynąć kędys w dal,
Ptaszkiem w locie, rybką w morzu
Pośród sinych fal...

Poduszczyką, co najraniej
Słucha twoich skarg,
I wachlarzem, który pani
Tulisz do swych warg.

Lecz najbardziej — będę śmiały
I to powiem f-st! —
Kluczem kasy ogniotrwały,
Gdzie twój posąg jest

Świetna myśl.

— Wiesz co, kochany Piotrusiu, dobre są te ryby, ale zawsze wolę kawałek mięsa. Żeby to można jakoś, bez naruszenia zasad, jedno z drugim pogodzić.

— Mam pyszną myśl!

— No?

— Każmy sobie sporządzić pieczeń z foki, to będzie „cielećcina morską“.

Był przecież jeden.

— Wierność mężowska to humbug!
Niema na świecie jej zgola.
Mąż każdy zdrajca rodzony —
Tak pani Agata woła.

— Ja przecież znałem jednego —
X. przerwie, — kłamstwo mu zadam!
— Niech pani chwilkę się wstrzyma...
To pierwszy ojciec nasz Adam.

Życie szkołą.

Życie szkołą, a w tej szkole
Wielka jest zawiść;
Ludzkość wciąż w niej „slabizuje“
Trudny wyraz: *miłość*.

Wróg piwa.

Człek niektóry, nos mający
Z odroślami, niby trufle,
Gdzie się ruszył, wnet wypijał
Bawarskiego liczne knfle.

— Nałogowcze utrapiony!
Wstrzemięźliwy mąż tak woła:
Czemu trudnisz się pijaństwem,
Już jak becзка jesteś zgola!

Na to tamten mu odeprze:
— Ja nie piję jako żywo,
Tylko będąc wrogiem trunku,
Jako mogę... niszczyć piwo!

TRAFNE.

— Dlaczego Adam był najszczęśliwszym mężem?

— Nie płacił rachunków za garderobę swej żony.

*

Prelegenci w naszych pismach
Żal serdeczny kreślą taki
Narzekając z wielkim jękiem
Na przeróżne w mieście braki...
„...Brak sal większych...“ „...Brak sal
[tanich...“
„...Akustyki brak w nich gości...“
To blabostki! „Brak“ najgorszy,
Sądzę — to — brak publiczności!

* *
Często figlarzem — dziennikarz
Natura wcale nie sępia:
Sam daje powód do płotek,
A potem sam je potępia.

Jeszcze nie.

Na lekcji nauczyciel dyktuje:
... „wpadli do Włoch, wymordowali
kobiety i dzieci“, a spostrzegłszy, że je-
den z uczniów, zamiast pisać, dokazuje,
zwraca się do niego i zapytuje: — Dą-
browski, masz już „dzieci“?
Dąbrowski (zmięszany), Jeszcze nie,
panie profesorze!

Z motywów sielskich.

ZALOTY.

Siedzi Jagna na progu
I kartofle obiera,
Przyszedł do niej parobek,
O, flirtownik przechera!

Jak ją wyciął w kark pięścią,
Aż stęknęła dziewczyna...
— Odyńdź, chłopie przeklęty,
To ci z niego gadzina!

I cisnęła kartoflem:
W sam nos Wojtka trafila,
Aż mu nochal posiniał
I krwi poszło aż siła.

Dziewczę śmieje się, rade,
Że zrobiło ten figiel:
— Będiesz teraz miał, chłopie,
Nos splaszczony kiej tygiel.

Wojtek konew wziął z wodą
I znalazł Jagnę do nitki...
I tak trwa firt ów niewinny
I młodzieńcze te zbytki.

Zdala patrzą się starzy:
— O, brakuje niewiele,
Kiej tak z sobą figlują,
Pewno będzie wesele.

?

— Mężu, takie ciepło i maj, ja
zaś chodzę jeszcze w zimowym okryciu.
— Nie zwracaj mi głowy, mam inne
wydatki.

— Widzisz mężu, odwilż Wartę ru-
szyła, a ciebie poruszyć nie może!

* * *
— Panie dyrektorze, sześćdziesiąt
marek miesięcznie nie wystarcza mi na
utrzymanie rodziny: kartofle zdrożały.

— To jedź pan kawior, który staniał
o dwadzieścia fenygów na funcie.

* * *

Oszczerstwo.

Każdy przyzna, że oszczerstwo
To nie cnota, nie zaleta,
I rzec można sprawiedliwie:
To fałszywa jest moneta.
Bo jak ona, tak oszczerstwo
Wszędzie jest, gdzie ludzi tłuszcza,
Rzadko kto je fabrykuje,
Ale każby w kurs je puszcza

Zacny Icek.

— Cóż to, Icku, podobno wyratowa-
liście z wody Macieja?
— Nu, jak ja mógł jemu dać się to-
pić, jeżeli on mnie winien pięć talarów?

DO AURY.

Wiosno, czyli drwisz z ludzkości,
Czy przestałaś drzeć przed wieszczem,
Że nas ciągle karmisz chłodem
I przeplatasz zimno deszczem?

Twoja sprawka to złośliwa,
Twoje kwietnie to trzy grosze,
Że gazeciarz codziennie pisze:
„Brać parasol i kalosze“.

Przestań-że nas trapić ciągle,
Ześlij już pogody nieco,
Gdyż świat wciąż z żalością jęczy
Nad twych zbytków dziką hecą.

TELEGRAMY.

Konstantynopol.

Nad granicą nasi ludzie
Z greckim wojskiem się pobili
I w tej bójce, jak należy,
Dzielni Turcy zwyciężyli.
Nie potrzeba więc się trwożyć,
Ani lez lać, jak z upustu,
Turek jeden bowiem zginął,
A zaś Greków koło dwustu.

Ateny.

Nad granicą nasi Grecy
Z Osmanami się pobili
I w tej bójce, jak należy,
Grecy dzielnie zwyciężyli.
Wojna więc nam się podoba
I przypada nam do gustu,
Bo Grek jeden tylko zginął,
A zaś Turków koło dwustu.

Berlin.

Dyplomacya, co śle noty
Pachnące lukrecyą,
Krzyczy dziś na Europę,
By czuwać nad Grecyą.
Przy „czuwaniu“ Europy,
Co nie śni o wojnie,
Trudno będzie biednej Grecyi
Pewno spać spokojnie.

Londyn.

Anglia, dla której zarobek,
Już coraz staje się rzadszy,
Gdy pustoszeje jej złobek,
Na Transwaal czule się patrzy,
Czuła dłoń w każdym jest calu,
Śle komplementy obfite,
Bo, jak wiadomo — w Traanswaalu,
Kopalnie złota odkryte.